NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. | Kraków, 23 września 1905 r. | Nr. 39.

Trzęsienie ziemi we Włoszech.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.

Trzęsienie ziemi we Włoszech.

(Do illustracyi tytułowej).

Do największych nieszczęść, jakie nawiedzają ludzkość, należą bezwątpienia wybuchy wulkanów i trzęsienia ziemi. Te ostatnie zaś sprawiają zazwyczaj jeszcze większe od tamtych spustoszenia, obejmując obszerniejsze przestrzenie. Właśnie pod wrażeniem jednej z tych strasznych katastrof żywiołowych znajduje się świat cały od tygodnia, czytając z przerażeniem codzień nowe szczegóły trzęsienia ziemi, które świeżo w ruinę zmieniło setki siedzib ludzkich we Włoszech i pogrzebało w gruzach kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Dziś południowa Kalabrya leży w gruzach, a kto śmierci nie znalazł pod murami miast i osad, ten wyszedł z katastrofy kaleką lub popadł w obłąkanie z przestrachu. A niestety, stosunki miejscowe poskąpiły nawet ratunku chorym i rannym w braku szpitali, schronisk, lekarzy i lekarstw. Nieszczęśni mieszkańcy ruin Kalabryi musieli czekać dopiero na pomoc ziomków z innych stron kraju, a tymczasem w cierpieniach strasznych dogorywali, zwiększając codzień liczbę trupów, których nie było komu grzebać, lub kończyli samobójstwem w przystępie szału.

Zresztą trudno dziwić się, iż setki ludzi zdrowych popadło w obłąkanie, skoro patrzeć trzeba było na sceny, których opis w dziennikach włoskich wprawia w najwyższe zdenerwowanie czytelników, oddalonych od miejsca katastrofy o tysiące kilometrów. Wszak kto wyszedł żyw, musiał widzieć naokół głowy krwią oblane i pomiażdżone członki, do mebli poprzylepiane, lub wystające z gruzów, krwi kałużami oblanych.

Łatwo tedy zrozumieć, iż nawet naoczni świadkowie nie mogą redakcyom dzienników opowiedzieć dokładnie szczegółów klęski, straciwszy bowiem z przestrachu zdolność obserwacyi, uciekali w popłochu w miejsca bezpieczne. Do braku dokładności obrazu spustoszenia przyczynia się także przerwanie komunikacyi z teatrem katastrofy, wstrząśnienia ziemi zrujnowały bowiem tory i dworce kolejowe oraz sieci telegrafu i telefonu.

Dzienniki przynoszą co chwila nowe wieści o scenach, serce rozdzierających, które się rozgrywały w Kalabryi. Nie sposób nam wszystkich powtarzać. Dość, że wszędzie ludzie z przestrachu — jak stali, nieraz w bieliźnie tylko lub nago — wyskakiwali z okien, z balkonów i zabijali się na miejscu, obok innych, których przywaliły gruzy domów i kościołów, lub pochłonęły przepaście rozpadającej się ziemi. A kto wreszcie uszedł cało i nie oszalał na miejscu, biegł szukać krewnych i przyjaciół i nieść rychłą pomoc, sam pospołu z tysiącami ziomków, znalazłszy się bez dachu i środków do życia...

Chwilę ratowania ofiar w jednej ze zniszczonych miejscowości przedstawia właśnie rycina nasza na pierwszej stronie niniejszego numeru.



Nowi ministrowie austryaccy: Baron Ryszard Bienerth, minister oświaty.

Nowi ministrowie austryaccy.

Ministerstwo oświaty i ministerstwo handlu — to w Austryi prawie że najważniejsze urzędy; obydwie te teki wymagają ludzi nietylko zdolnych, ale przedewszystkiem miłujących swój zawód i rozumiejących znaczenie powierzonych im godności. Handel i oświata — to główne czynniki, warunkujące danemu krajowi dobrobyt i szczęście. Ministrowie, którym poruczają te ministerstwa, mają wielkie i szerokie pole działania.

W ubiegłym tygodniu sensacyę obudziła w Austryi wiadomość, że obaj ministrowie, minister handlu i minister oświaty, podali się do dymisyi, która została przyjętą. Ustąpił mianowicie dr. Hartl, minister oświaty i baron Call, minister handlu.

Dr. Hartl, jako urzędnik cichy i nie lubiący się wysuwać na pierwszy plan, zdołał jednak pozyskać sobie nietylko wśród podwładnych, ale i w parlamencie poważanie i uznanie dla swej pracy. Taksamo baron Call. To też dymisya ich była



Zjazd prawników austryackich kolei państwowych: Grupa uczestników zjazdu podczas zwiedzania Biblioteki Jagiellońskiej. (Fot. E. Pierzchalski. Kraków).

zupełną niespodzianką. Nie mówiono o niej i nikt jej nie przewidywał.

Według wersyi, szerzonej ze strony rządowej, dymisya obydwu ministrów nie ma na razie żadnego głębszego znaczenia i tłómaczy się jedynie osobistą potrzebą wypoczynku. Poza tem jednak w kołach politycznych przypisują tym dymisyom znaczenie głębsze. Według nich, po ustąpieniu Hartla i Calla, cztery ministerstwa, a mianowicie ministerstwo kolei, sprawiedliwości, oświaty i handlu, będą miały tylko prowizorycznych zawiadowców. Te cztery teki tworzyć mają rzekomo podstawę do ewentualnej parlamentaryzacyi gabinetu, chociażby w czasie może niezbyt bliskim. A parlamentaryzacya ta jest rządowi o tyle potrzebną, a nawet konieczną, że rząd pragnie zjednoczyć stronnictwa do walki przeciw socyalistom, których sobie baron Gautsch naraził wystąpieniem przeciw projektowi powszechnego prawa głosowania.

W miejsce dra Hartla powierzył cesarz kierownictwo ministeryum oświaty wiceprezydentowi dolno-austryackiej rady szkolnej krajowej, baronowi Ryszardowi Bienerthowi. Tekę ministra handlu powierzył cesarz hr. Leopoldowi Auerspergowi, dotychczasowemu szefowi sekcyi w ministerstwie spraw wewnętrznych. Obydwaj nowi ministrowie są dzisiaj jeszcze na tych stanowiskach „homines novi“, nie można więc co do nich snuć żadnych kombinacyj.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografie nowych ministrów hr. Auersperga i barona Bienertha.



Wyścigi cyklistów we Lwowie: Wyruszenie z miejsca uczestników biegu „na tandemach“. (Treść na str. 9).



Nowi ministrowie austryaccy: Hr. Leopold Auersperg nowy minister handlu.

Zjazd prawników austryackich kolei państwowych.

Stowarzyszenia ludzi pewnej klasy społecznej czy urzędniczej, mają na celu strzeżenie praw i obronę interesów tej klasy, a są tem ważniejsze i potrzebniejsze, że jednostka, chociażby nawet bardzo zdolna, nie zdoła tak walczyć o swoje prawa, jak zwarta masa ludzi, jedną ożywionych ideą, do jednego dążących celu, a przeto silnych. Dlatego to dzisiaj tyle zawiązuje się stowarzyszeń i to w najrozmaitszych sferach.

Celem utworzenia ogólnego związku prawników austryackich kolei państwowych odbył się w dniach 10 i 11 bm. w Krakowie zjazd tych funkcyonaryuszy kolejowych. W zjeździe wzięło udział zaledwie 60 uczestników. Przyczyną tego była fałszywa wiadomość, podana przez jedno z pism wiedeńskich, że w Krakowie panuje cholera. Wielu więc urzędników, obawiając się tego, nie przybyło na zjazd.

Głównym punktem obrad zjazdu było utworzenie ogólnego związku prawników kolei państwowych w całej Austryi. Po wykazaniu korzyści, jakie taki związek będzie miał dla prawników kolejowych, co kilku mowców w barwny przedstawiło sposób, uchwalono przystąpić do utworzenia takiego związku; pracę nad utworzeniem powierzono sekcyi wiedeńskiej.

Przyszły wreszcie pod obrady sprawy mniejszej wagi, które wkrótce załatwiono. Jako miejsce przyszłego zjazdu wybrano Pragę.

Ilustracya nasza, zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia grupę uczestników zjazdu, zdjętą na dziedzińcu biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.

Nowy dyrektor kolei we Lwowie.

Zapowiadane od dawna ustąpienie sędziwego radcy dworu p. Ludwika Wierzbickiego ze stanowiska dyrektora kolei państwowych we Lwowie nastąpiło w ubiegłym tygodniu. Następcą jego został mianowany dotychczasowy zastępca dyrektora w sprawach technicznych, radca rządu p. Stanisław Rybicki.

Nowy kierownik lwowskiej dyrekcyi kolejowej jest człowiekiem młodym, pełnym energii, znakomitym inżynierem i głębokim znawcą stosunków na kolejach galicyjskich.

Urodzony w roku 1856 w Rzeszowie, tam uczył się prywatnie i złożył egzamin dojrzałości. Jako ośmnastoletni młodzieniec wyjechał do Karlsruhe na studya w tamtejszej politechnice, którą w roku 1880 ukończył jako dyplomowany inżynier. Wnet potem, tj. w r. 1881 wstąpił do służby kolejowej i został przydzielony do jeneralnej inspekcyi kolei austryackich we Wiedniu. Przebywał tam pierwszym razem krótko, bo już w sierpniu tegoż roku został przydzielony do budowy linii transwersalnej w Galicyi i jako kierownik „lasu“ czortkowskiego pozostał tam do roku 1885. Wraca następnie do Wiednia, do jeneralnej dyrekcyi kolei austryackich, gdzie pracuje w dziale mostowym aż do roku 1887. Od tego roku aż do lipca 1904 pozostawał w jeneralnej inspekcyi kolei austryackich, przechodząc szybko, dzięki niezwykłym zdolnościom, wszystkie stopnie hierarchii urzędniczej aż do rangi VI, pracując kolejno w dziale finansowym, w dziale budowlanym i prowadząc tam agendy galicyjskich kolei państwowych i kolei północnej. W lipcu 1904 przybył do Lwowa, powołany na stanowisko zastępcy dyrektora w sprawach technicznych. Już wówczas mówiono, że miejsce zasłużonego radcy dworu Wierzbickiego, zajmie po jego ustąpieniu p. Stanisław Rybicki. *Vox populi* nie omylił.

Dyrektor Rybicki otrzymał równocześnie tytuł radcy dworu.



Wyścigi cyklistów we Lwowie: Wyjazd biorących udział w biegu „gości“. (Treść na str. 9).



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

17 (Ciąg dalszy).

— Ryszarda? Mego syna?

— Nie wiem, czy on synem pani – uśmiechnęła się — ale muszę go widzieć.

— Panie Alfredzie — zwróciła się do jednego z młodzieńców — poproś pan Ryszarda.

— W tej chwili.

Wszedł jasny blondyn, lat trzydziestu kilku, w czarnym anglezie, ubrany bez zarzutu, z łagodną twarzą, z marzącemi oczyma i bez pośpiechu, lecz ze zdziwieniem spojrzał na Helenę, skłonił się, mówiąc:

— Jestem Ryszard. Czy pani mnie szuka?

— Prawdopodobnie... przyjeżdżam od pana Pawła do pana.

— Od Pawła? — zawołał rozpromieniony. — A, droga pani, jakżeż to dobrze — pochwycił jej rękę i ściskał. — Proszę do salonu, nie, do pokoju... Mamo! Ta pani, to mój najmilszy gość — i wiódł ją za rękę do pokoju na prawo.

Gdy znaleźli się sami, przemówił bardzo serdecznie:

— Jest pani u siebie, rozporządzaj pani.

— Przywiozłam odezwy.

— Odezwy?! Dawaj pani... nareszcie zdecydowali się... Gdzie są?

— Niech mnie pan zostawi samą, muszę je wyjąć.

— Zaraz... a Pawła dawno widziała pani? Ostatni list miałem ze Szwajcaryi.

— Wczoraj... przed wieczorem.

— A dziś pani tutaj?! Dzielna kobieta z pani... Zostawiam panią — i przymknął drzwi za sobą.

W przyległym pokoju czekała na niego matka zaniepokojona.

— Ryszardzie, co to za dziewczyna? Skąd przychodzisz do tej znajomości, kto ten pan Paweł?

— Wszystko w porządku, moja mamo... to emisaryu zka, mamo... idzie o Polskę!

— O Polskę?... Ach, Ryszardzie, tak się boję o ciebie... znów się mięszasz?

— Obowiązek, mamo, i koniec.

— To prawda, mój synu — westchnęła — ale jaka ona dzielna... bardzo kochana i dobra... musimy ją ugościć, przyjąć... pewnie zmęczona, czy ona wprost jedzie?

— Tak, mamo, dziś wyjechała z zagranicy.

— Że też musiała na zabawę trafić; gdzie ja ją ułożę?

— To mamy rzecz — uśmiechnął się.

— A co ona tam robi? — wskazała na pokój.

— Przebiera się.

— Jakto?

— No, wyjmuje przesyłkę.

— Może jej pomódz?

— Nie, mamo... ona młoda.

— I dosyć ładna — dodała matka.

Drzwi otworzyły się i prawie wbiegła młoda panna, blondynka, w jasnej fularowej sukni.

— Mamo, Ryszardzie, co się stało? Ktoś przyjechał? Jakaś nadzwyczajna osoba.

— Cicho, Broniu – wskazała matka na drzwi — dowiesz się później, idź teraz do gości.

— Już wiem... Domyślam się, Ryszardzie, czy to od niego? — spojrzała bratu w oczy.

— Tak jest — skinął głową.

— Idź już, Broniu.

— Niema mnie — wyszła szybko.

Helena uchyliła drzwi i rzekła:

— Już, proszę pana — a gdy wszedł — ta paczka była do Zawiercia, ale nie mogłam doręczyć i pan Paweł polecił panu oddać.

— A... wiem, że też on, urzędnik kolejowy i spóźnił się.

— Nie dojrzał mnie, bo spodziewał się mężczyzny... dopiero w ostatniej chwili, ale było już zapóźno.

— Dobrze... odeślę mu... A zapewne ta paczka dla mnie... Najpierw ukryję te skarby — schował starannie do skrytki biurka — a teraz poproszę was do jadalnego pokoju... tam pewno już przygotowano.

— Dziękuję wam, ale muszę iść natychmiast – ubierała się w paltocik.

— Wolne żarty — zaśmiał się — ani mi się śni. Paweł zwymyślałby mnie od ostatniego, że was w nocy puściłem. Gniewajcie się, nie gniewajcie się, ale nie puszczę — stanął w drzwiach.

— Upewniam was, że muszę iść... oczekuje mnie kolega.

— Jaki kolega? Co za kolega? To jakieś wymysły, byle nas opuścić.

— Czeka na dole, w dorożce, mój kolega z uniwersytetu, który wczoraj przewoził książki.

— A do mnie niema?

— Nie.

— Ach, ten Paweł; ale poznaję go, on zaprzągłby do roboty wszystkich, byleby tylko mógł. A co do kolegi, to rzecz załatwiona, rozbierajcie się z paltocika, odłóżcie kapelusz, zaraz go tu sprowadzę.

— Nie, nie... on nie zechce.

— Już go namówię, od tego jestem agitatorem i jeszcze czegoby brakowało, aby mnie towarzysz nie posłuchał — i przymknąwszy drzwi, szybko wyszedł.

Zbiegł ze schodów, a widząc Walczaka, stojącego tuż przy dorożce:

— Witajcie towarzyszu broni — podał rękę — dopiero dowiedziałem się, że czekacie na dole. Zapraszam was do siebie.

— Dziękuję, ale muszę jechać dalej, nie mogę korzystać z waszej gościnności.

— Gdzieś zjeść musicie, chodźcie!

— Nie, dziękuję. Jeśli koleżanka zostaje, oddajcie jej kuferek — podał.

— Zabieram kuferek, ale i was — a widząc jego opór — słuchajcie towarzyszu, jestem setnikiem, rozumiecie, zatem słuchać i milczeć — zaśmiał się.

— Kiedy każecie, to inna rzecz — zdecydował się Walczak iść, gdyż żal mu się zrobiło, iż z Heleną nie wróci.

Zabrał swój kuferek, a gdy byli na schodach:

— Jak Paweł wygląda? Zdrów?

— Zdaje mi się, że zdrów.

— On z cytadeli wyniósł reumatyzm i cierpi na oczy.

— Nie skarżył się.

— Dużo mieliście broszur?

— Tak sobie... dosyć.

— Że też nie dał mi żadnej — westchnął z żalem.

— Mam kilka przy sobie, wziąłem od przypadku, jeśli chcecie...

— Jeśli chcę? — zaśmiał się — ależ mnie męczą dziesiętnicy, dawajcie wszystkie... a to niespodzianka! To skarby dla mnie.

— Dosyć tanie — uśmiechnął się Walczak.

— Jak to widać Galileusza; nie rozumiecie położenia i to, co dla was chleb powszedni, dla nas niczem marcypany.

Wprowadził go do pokoju, w którym siedziała Helena i mówił:

— A co?... nietylko przyszedł towarzysz, ale jest i kuferek... teraz rozgoście się... a jak mam was nazywać?

— Helena.

— Stanisław.

— Panno Heleno, a wy na jakim wydziale?

— I ja i kolega jesteśmy na filozoficznym, ja studyuję chemię, a kolega nauki przyrodnicze.

— To przydacie się nam do robienia bomb — zaśmiał się — za chwilę będę.

Gdy zostali sami, rzekł Walczak z cichym wyrzutem:

— Dlaczego zostaliście tutaj?

— A wy dlaczego? — uśmiechnęła się.

Już chciał powiedzieć, że dla niej i przez nią, ale wstrzymał się i po chwili:

— Tak usilnie prosił... no i wy byliście już tutaj... uległem.

— I ja również... Zresztą będziemy tu chwilę tylko... u nich dzisiaj tańce. Miałam zabawną rozmowę z dwoma wyfrakowanymi młodzieńcami, po prostu nie chcieli mnie dopuścić do pana Ryszarda — śmiała się.

— A chciałem was wyręczyć.

— Nie żałuję wcale, że poszłam sama.

W tej chwili wszedł Ryszard i zostawiając za sobą drzwi otwarte:

— Proszę was na przekąskę tymczasem... za godzinę będzie kolacya.

Weszli do pokoju jadalnego, w którym był długi stół z wielką liczbą nakryć, do kolacyi przygotowanych, a z boku mniejszy stolik, przy którym stała, porządkując nakrycia, matka Ryszarda.

— Moja matka... panna Helena... pan Stanisław... nasi ukochani, mamo.

— Wiem... siadajcie moi drodzy goście, tu panno Heleno, będzie wygodniej... nabierajcie, jedzcie... pewno zmęczeni jesteście.

— Dziękuję pani.. ja prawie nic nie jestem zmęczona, dziś o ósmej rano wyjechałam, ale kolega... ale pan Stanisław od wczoraj wieczorem jest w drodze.

— Zapominacie koleżanko... panno Heleno, że jestem silny i mężczyzna, o zmęczeniu mowy niema.

— Szczęśliwa młodość — uśmiechnęła się —

ta nie zna zmęczenia. Ale że pani, taka młodziutka, odważyła się jechać i... przewozić.

— Taka znów młodziutka nie jestem — uśmiechnęła się i nabierając na talerzyk pasztetu — trzeci rok na uniwersytecie, mam doświadczenie.

— O, i wielkie — zaśmiała się szczerze.

— Jedzcie, panie Stanisławie, może wam nie smakuje? A może wędlin?

— Dziękuję wam, wszystko doskonałe, a czuję wilczy apetyt, bo zapomniałem dziś o jedzeniu.

— I ja tak samo — zaśmiała się Helena — jestem po dwóch szklankach herbaty.

— No, nie dziwię się, takie wrażenia — mówiła matka — więc jedzcie moi kochani. Ryszardzie, zawołaj Bronię... poznam was z moją córką.

Weszła i po zaznajomieniu wpatrzyła się badawczo w Helenę i po chwili:

— Wy przecież Borwicówna, nie poznajecie mnie? Chodziłyśmy razem na fizykę.

— A prawda... nie poznałam was — uścisnęły sobie ręce — tak, to wy... w tej granatowej sukni... pamiętam.

— To dopiero niespodzianka — zawołała Bronia ucieszona — i co wy tu robicie? wy tutaj?

— Wasza wątpliwość wcale mi nie pochlebia — zaśmiała się Helena — sądziłam, że macie lepsze wyobrażenie o mnie.

— Źle zrozumieliście — tłómaczyła się lekko zmieszana — ale znałam was tak pochłoniętą nauką, że zdawało się, iż na nic innego nie macie czasu.

— Widzicie teraz, że na obowiązki mam czas.

— Teraz lepiej was poznaję i tem więcej się cieszę ze spotkania; kilka dni będziecie u nas, poznacie Łódź.

— Nie, nie mogę... muszę wracać.

— Ależ... — zaczęła Bronia.

— Musimy wracać — wmięszał się Walczak do rozmowy — robota nas czeka.

— Jeśli musicie, to przynajmniej dzisiejszy wieczór nam poświęcicie, jest trochę znajomych, zabawicie się.

W tej chwili doleciały ich uszu skoczne tony przygrywki mazurowej, a Bronia:

— Słyszycie? Mazur! Nie dajcież się prosić, błagać... Chodźcie do mego pokoju, poradzimy coś ze suknią.

— Przypadkowo mam ze sobą jasną.

— A, jak to dobrze! Naturalnie i pan Stanisław, dopiero będzie zabawa!

Obydwie panny wstały i wyszły, a pani domu:

— Jakie to dziwne bywają spotkania. Bronia była przez jeden kurs nadzwyczajną słuchaczką w uniwersytecie, zabrałam ją, bo zaczęła pokasliwać... i teraz spotka koleżankę, a może i pan znajdzie tu znajomych?

— Nie wiem... może... Wolałbym jednak, panie Ryszardzie, aby nie wymieniano nazwiska koleżanki... złe nie śpi i zawsze trzeba się mieć na ostrożności.

— Bardzo słuszna uwaga, moja mamo, proszę uprzedzić Bronię.

— Dobrze... zaraz... a przypilnuj, aby jadł pan Stanisław.

Ryszard przysuwał mu półmiski.

— Dziękuję... dajcie mi, jeśli macie, wody.

— To już lepiej wina albo piwa.

— Prosiłbym was o piwo.

— Bardzo dobrze, przejdźmy do mego pokoju.

Gdy usiedli, począł Ryszard dopytywać się o szczegóły podróży.

W czasie opowiadania przypomniał sobie Walczak to zagadkowe pytanie urzędnika o paszport i nazwisko Heleny i spytał Ryszarda, co mogłoby oznaczać?

— Rzecz bardzo prosta. Zapewne panna Helena wiozła coś ulegającego cłowej opłacie, suknie, szalik, koronki lub coś podobnego. Paszport daje prawo przewozu pewnej ilości rzeczy bez cła, a przepustka nie uwalnia, dlatego pytał urzędnik o paszport i nazwisko dla sprawdzenia.

— Więc to tylko formalność — zaśmiał się Walczak — a my przypuszczaliśmy Bóg wie co? I niepotrzebnie bała się koleżanka.

— Cóż sądziła o tem?

— Że żandarmi mają spis agitatorów i tych, co przewożą i t. d. i t. d.

— Wiecie, my wogóle zanadto cenimy spryt żandarmów i szpiclów. Najczęściej zdradza nas przypadek albo własna nieostrożność. Nie taki dyabeł straszny — zaśmiał się.

Do pokoju wszedł pospiesznie młody człowiek i zawołał:

— Ryszardzie, zamówiłeś pannę do mazura, czekamy.

— Pan Alfred Birecki... pan Stanisław, mój przyjaciel.

— Bardzo mi przyjemnie... chodźcież panowie... dość spisków.

— Proszę was, panie Stanisławie.

— Nie mam fraka.

— To rzecz najmniejsza, taki człowiek, jak wy, nie potrzebuje fraka.

— Poczekajcież... mam anglez, ubiorę się.

— Więc żywo — zachęcał Alfred.

— Idź, kochany, do salonu.., przyjdziemy z panem Stanisławem... A kiedy wy musicie jechać?

— Jutro o siódmej rano wyjeżdżam.

— A panna Helena?

— To tylko od niej zależy.

Bawiono się bardzo ochoczo, a gdy się dowiedziano, że Helena i Stanisław wyjeżdżają o siódmej rano, postanowiono hulać całą noc i odprowadzić wyjeżdżających gremialnie na dworzec kolei.

IX.

Żalecki, gdy mówił Oldze przy rozstaniu się z Walczakiem i po zaznajomieniu się z Pawłem,



...Moja matka... panna Helena... pan Stanisław... nasi ukochani, mamo.

słowa: znajdzie się robota dla nas! już był powziął plan rozmówienia się z Pawłem i otrzymania od niego wskazówek.

Na drugi dzień rano, przed godziną ósmą, poszedł do mieszkania Walczaka, gdzie miał nocować Paweł i na wzór, usłyszany wczoraj, zapukał trzykrotnie.

— A kto się tam tłucze? — spytał Paweł gderliwym głosem.

— Swój!

— To wiem... zaraz otworzę — a gdy Żalecki otwierał, narzekał Paweł — licho was przyniosło tak rano — ziewnął głośno — że też nie mogę się wyspać.

— Dzień jak wół — podał rękę — i obawiałem się, że was później nie zastanę.

— Ale... chciałem spać do południa. Powiadam wam, że nigdzie tak nie spałem, jak w cytadeli, to było przyjemne zajęcie i czas mijał szybko. Ależ tu zimno — otulał się kocem.

Żalecki spojrzał w kąt pokoju, gdzie stał żelazny piecyk, a spostrzegłszy drwa i węgle:

— Zaraz będzie wam cieplej — i rozpalał w piecyku.

— Wiecie, nie znoszę zimna — mówił Paweł — i gdyby mnie wysłano na Sybir, umarłbym do trzech dni.

— Unikajcież Sybiru — uśmiechnął się Żalecki — bo tam, nawet dla was, nie będę palił w piecu.

— Rozumie się; mam was przecie za mądrego człowieka. Po co wam Sybir? Czy skończyliście z piecem?

— Już się pali — wycierał ręce o chustkę.

— Teraz podaj ie mi papierosy i zapałki... Dziękuję... a może palicie?

— Nie palę.

— Mądrze robicie, to kosztowna i niezdrowa zabawka. Cóż mi powiecie?

— Przyszedłem do was — zawahał się.

— No, że przyszliście, że zbudziliście mnie ze snu, to wiem, cóż dalej?

Żalecki przysunął sobie krzesło bliżej łóżka, usiadł i mówił:

— Należę do polskiej partyi socyalistycznej...

— Dawno?

— Onegdaj się zdecydowałem.

— Toście bardzo młodzi — uśmiechnął się, wypuszczając kłąb dymu — a przedtem gdzie należeliście?

— Do socyalnej-demokracyi.

Paweł poruszył się i spojrzał zaciekawiony.

— Hm... tak samo i ja... widać, że to zwykła kolej, dobrze, że nie starałem się o patent, bo wynalazek pospolity, a teraz co dalej?

— Chcę służyć, jestem silny, młody i zdrów.

— Zazdroszczę wam zdrowia, to dobra rzecz... ale wiecie, nie lubię, w łóżku będąc, rozmawiać, a zwłaszcza o poważnych sprawach. Wstanę, a jeśli was wstydzą moje zreumatyzowane nogi, odwróćcie wasze skromne oczy.

Żalecki wstał, odsunął krzesło i poprawiając węgle w piecyku:

— Macie reumatyzm?

— To prezent celkowego więzienia, dziś już mi lżej, ale dało mnie porządnie.

— Wracając do rzeczy... — zaczął Żalecki.

— Zaraz, młodzieńcze... pozwólcie mi spłukać sen z moich oczu.

Nalał wody do miednicy, mył się, a gdy skończył, obejrzał się za ręcznikiem.

— Poszukajcie ręcznika... mam ten głupi zwyczaj obcierania się po myciu... czy nie wisi gdzie?

— Nie, nie widzę — szukał Żalecki.

— Otwórzcie szafę, tam pewno ten kleryk chowa ręczniki.

— Istotnie jest — podał ręcznik.

— Wiecie ten Stach ma niemożliwe zamiłowanie do porządku... wyobrażam sobie, jak czysty byłby jego kościół i naturalnie pobożnych trzymałby przed kościołem, aby mu nie zabrudzili posadzki. Wczoraj poukładał moje rzeczy w szafie — otworzył ją — patrzcie... on stworzony na żonę.

— Albo na męża niedbałej kobiety — zaśmiał się Żalecki.

— O nie, pożarliby się pierwszej nocy poślubnej... maniak z niego, jedyny wyjątek stanowi ubranie, o to nie dba.

Mówiąc, ubierał się, wiązał krawatkę, czesał się starannie, a gdy był gotów, zapalił papierosa i rzekł:

— Teraz słucham was uważnie — i zasłał łóżko — zatem chcecie roboty?

— Tak jest... ale, uważacie, panie Pawle, nie umniejszając w niczem znaczenia i doniosłości przewożenia pism i broszur, nie dogadza mi ten rodzaj roboty; to każdy odważny i sprytny człowiek zrobi, ale ja chcę tam na miejscu pracować i organizować.

— Teraz muszę was wziąć na spytki, więc najpierw, co umiecie?

— Jestem chemikiem i organizowałem tu robotników.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Manewry X. korpusu: Oficerowie austryaccy na granicy rosyjskiej koło Leżajska w towarzystwie kapitana rosyjskiego.

Manewry X. korpusu.

Sztuka wojemna wspiera się, jak wogóle każda umiejętność na dwóch głównych podwalinach: teoryi i praktyce. Teoryę studyują żołnierze w zawodowej szkole wojskowej, gdzie pod kierunkiem wykształconych teoretyków wtajemniczają się w arkana sztuki wojennej na papierze i planach sytuacyjnych. Ważniejszą jednak bez porównania jest strona praktyczna, która najdosadniejszy wyraz znachodzi — w manewrach. Istota manewrów polega na ćwiczeniach wojska w celu praktycznego obeznania dowódców i żołnierzy z działaniami wojennemi, oswajając nadto z trudami i niewygodami podczas marszu. Każde manewry są marszem przedsiębranym z należytymi ostrożnościami wojskowymi, a kończą się udanym, czyli t. zw.: „markowanym atakiem“. Z biegiem czasu i udoskonaleniem się sztuki wojennej — zostały wprowadzone do manewrów przeróżne ulepszenia i postępowe urządzenia, jak polna służba telegraficzna i telefoniczna, balony do rekognoskowania ruchów nieprzyjaciela i t. p., wprowadzono również w grę całe armie pomocnicze, jak furażerów, służbę sanitarną etc.

Manewry austryackie słyną w całej Europie swoją precyzyą i sprawnością. Odbywają się one w kilku różnych okolicach monarchii, tak, że każdy prawie korpus odbywa manewry dla siebie. Ponadto odbywają się rok rocznie wielkie manewry, w których bierze udział kilka garnizonów, t. zw, „manewry cesarskie“, a na które zazwyczaj i cesarz przybywa.

Manewry korpusu przemyskiego odbyły się tego roku w dniach od 30 sierpnia do 7 września w okolicy między Leżajskiem a Rzeszowem. Kierował niemi osobiście marszałek Cerry. Zastosowano przy nich wszystko, co tylko można było zastosować, a więc i telegraf polny i balony, rowery i automobile, słowem wszystko, na co się umysł ludzki w ostatnich czasach wysilił, a co może się okazać potrzebnem przy ewentualnej przyszłej wojnie.

Ilustracye nasze, jakie podajemy w dzisiejszym numerze, przedstawiają szereg scen z manewrów korpusu przemyskiego. Widzimy tam więc kompanię w pełnym rynsztunku przed odejściem na manewry, grupę oficerów, pełniących służbę obozową podczas manewrów, przejazd oficerów promem przez San, spotkanie się dwóch nieprzyjacielskich kompanii i atak na wzgórze, transport chorych oficerów, zasłabłych podczas ćwiczeń. Dwa zdjęcia zasługują na szczególną uwagę, a mianowicie: fotografia, przedstawiająca oficerów austryackich, którzy spotkali się na granicy rosyjskiej z posterunkiem rosyjskim i piękny, sielankowy obrazek z życia wojskowego, uderzający naturalną prostotą i swobodą: zabawę żołnierzy podczas manewrów.

Jak wiadomo, żołnierze, którzy wysłużyli już 3 lata, po manewrach odchodzą do domów. Kiedy się więc manewry kończą, radość ich z tego powodu niema granic. Wszyscy cieszą się, śpiewają i z utęsknieniem liczą nie dni, ale godziny nawet, które ich dzielą od dnia powrotu na łono rodziny.



Manewry X. korpusu: Oficerowie austr. przeprawiają się promem przez San ku granicy ros. Fot. M. Todt. Przemyśl.

Ilustracya nasza przedstawia jednę z takich sielankowych scen. Dzień przed ukończeniem ćwiczeń zebrali się ci, którzy już kończą służbę wojskową, na łące i przy wybornej własnej muzyce, złożonej jeno ze skrzypiec, trąbki i klarnetu, tańczą ochoczo, bo to już niezadługo przyjdzie dzień, kiedy wojsko opuszczą.



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Manewry X. korpusu: Oficerowie pełniący służbę obozową podczas manewrów.

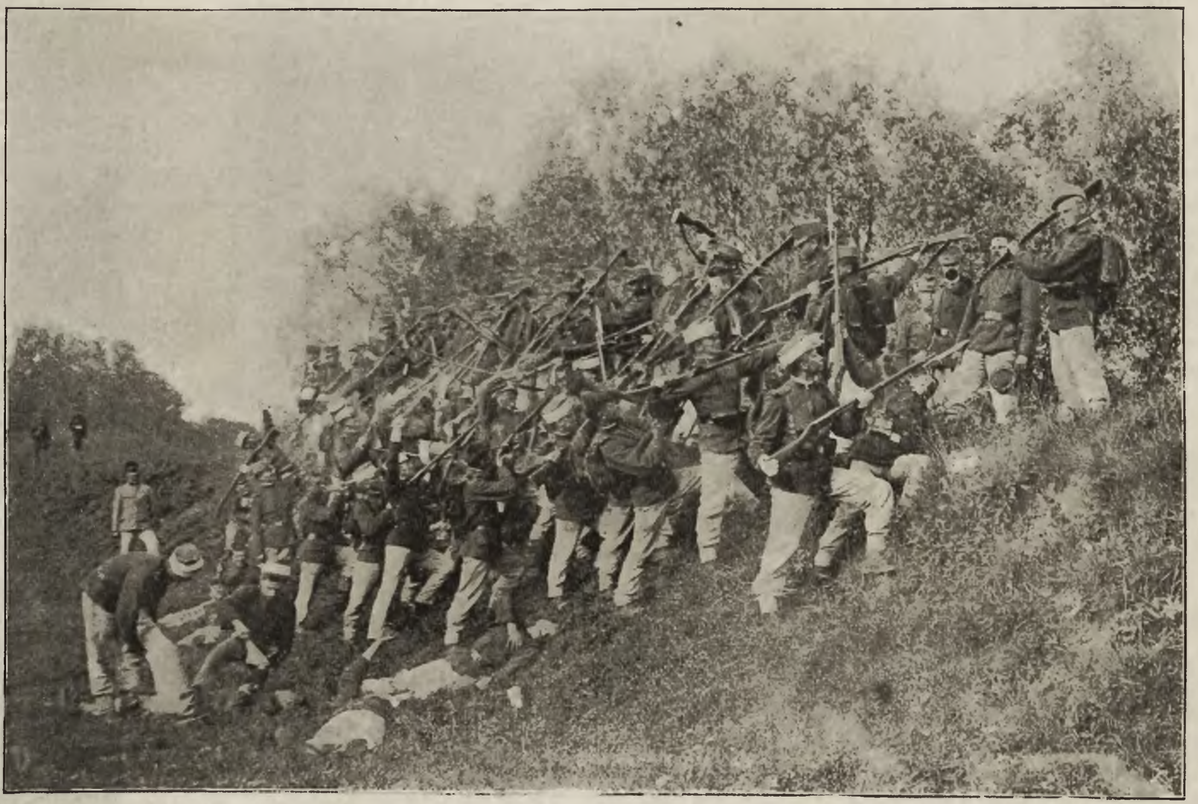
Podwójne morderstwo i samobójstwo.

Wstrząsające grozą konflikty i katastrofy rozgrywają się w rodzinach, gdzie niema zgody i harmonii, gdzie anioł pokoju i miłości odleciał od domowego ogniska. Stokroć jednak gorzej, gdy między małżeńskie stadło wkradnie się zły człowiek i systematyczną krecią robotą podkopuje ich byt i szczęście. Takim elementem rozkładowym bywa zazwyczaj w pożyciu małżeńskiem — teściowa, i zaprawdę! — rzadkie są wypadki, by się zięć z matką swej żony mógł zgodzić, zwłaszcza, gdy mieszka z nią pod wspólnym dachem. Na tle niezgodnego pożycia małżeńskiego rozegrał się niedawno straszny dramat, ofiarą którego padły dwa kwitnące życia, a sprawca nieszczęścia młody, inteligentny człowiek, złamawszy sobie życie, został kaleką na zawsze.

A sprawa tak się przedstawia:



Podwójne morderstwo i samobójstwo: Dr. Włodzimierz Lewicki, obrońca Piseckiego przed sądem przysięgłych.



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Manewry X. korpusu: Atak piechoty na wzgórze, obsadzone przez kompanię piechoty nieprzyjacielskiej.



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Manewry X. korpusu: Transportowanie chorych oficerów podczas manewrów oraz widok „Marodenhausu“.



Podwójne morderstwo i samobójstwo: Włodzimierz Pisecki, który w chwili szału zabił żonę i własne dziecko.

W Podgórzu mieszkał wspólnie z swą żoną od kilku lat dobry i spokojny człowiek, niejaki Włodzimierz Pisecki, a stosunek małżeński pobłogosławiony został córeczką, którą oboje rodzice nad życie kochali. On, pełnił obowiązki buchaltera, ona krawieczyzną zarabiała w domu, a zapobiegliwością i pracą potrafili sobie w krótkim czasie wywalczyć byt dostatni i niezależny. Niestety! szczęście to nie trwało długo! Sprowadziła się do domu teściowa, zła i zgryźliwa kobieta i zdołała w krótkim czasie poróżnić małżonków. Dom Piseckich stał się teraz widownią gorszących scen i zaburzeń. Mąż zaczął z rozpaczy pić i zaniedbywać obowiązki biurowe, tak, iż posadę postradał i odtąd jako komiwojażer mógł tylko zarabiać. Pewnego razu wracając z swoich objazdów, wstąpił do domu, by przy boku żony i dziecięcia wytchnąć po trudach podróży. Smutne spotkało go rozczarowanie. Żony ani dziecka nie zastał, mieszkanie zaś ogołocone było ze wszystkich sprzętów. Zrozpaczony człowiek dowiedział się od sąsiadów, że żona zabrawszy dziecko i wszystkie ruchomości wyjechała wraz z teściową do Trzebini. Pisecki podąża najbliższym pociągiem za niemi: przemocą prawie zdobywa przystęp do domu i na kolanach, ze łzami w oczach błaga żonę o pogodzenie się i powrót. Zaślepiona nienawiścią a zbuntowana przez matkę, odmawia posłuszeństwa...

A wtedy stała się rzecz straszna!

Wzgardzony małżonek wyjmuje rewolwer i jednym celnym strzałem kładzie ją na miejscu tru-



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Manewry X. korpusu: Rozrywka na manewrach: Zabawa żołnierzy, którzy po ukończeniu manewrów odchodzą do domu.



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Manewry X. korpusu: Kompania w pełnym rynsztunku, przed wyruszeniem na manewry.



Wystawa rolniczo-przemysłowa w Nowym Sączu: Wystawa artystycznych wyrobów cukrowych Józefa Dzięciołowskiego.

pem. Drugi morderczy pocisk przeznaczony był dla córeczki, również zginęła – biedna ofiara niesnasek rodzicielskich! Widząc krwawe swoje dzieło skierował nieszczęśliwy lufę morderczego narzędzia w siebie. I padły cztery, jeden po drugim strzały. Zraniony trzy razy w okolicę serca a raz w skroń, padł nieszczęśliwy krwią oblany na ziemię. Na odgłosy strzałów i alarm domowników zbiegli się sąsiedzi, zjawiła się i żandarmerya. Trupy zostawiono aż do zbadania komisyi sądowo-lekarskiej na miejscu. Denata na pół żywego, przewieziono pod eskortą po doraźnem opatrzeniu ran – do szpitala św. Łazarza w Krakowie. Po dokonanej nadzwyczaj trudnej operacyi przez lekarzy, udało się Piseckiemu wyjąć trzy kule — czwarta jednak pozostała w głowie denata. Młody człowiek odstawiony po operacyi do tutejszego więzienia, przedstawia ruinę życia ludzkiego. Dzisiaj to już nie młody człowiek, ale kaleka na życie całe, trup raczej chodzący i to nawet nie o własnych siłach – człowiek, który skazanym jest na powolne konanie i który nigdy już do zdrowia nie przyjdzie.

Prokuratorya oskarżyła Piseckiego o rozmyślne morderstwo dwojga ludzi a sensacyjna ta rozprawa odbyła się 19 b. m.

W numerze niniejszym podajemy portret nieszczęśliwego, oraz jego obrońcy znanego w Krakowie adwokata dra Włodzimierza Lewickiego.

Wystawa rolniczo-przemysłowa w Nowym Sączu.

Wystawa każda, jako zbiorowy przegląd produktywności w danej gałęzi przemysłu, ma znaczenie wielkie i są w życiu przemysłowem objawem ogromnie pożytecznym i znamiennym. U nas zwłaszcza, w kraju, stosunkowo tak ubogim pod względem przemysłu, wystawy przemysłowe są



Wystawa rolniczo-przemysłowa w Nowym Sączu: Komitet wystawy.

nietylko potrzebne. ale konieczne. Są one dowodem szerszej akcyi, jaka się niedawno w naszym kraju rozwinęła, akcyi, idącej od pewnego czasu konsekwentnie w kierunku emancypacyi gospodarczej. Na wystawach nadarza się dla szerokich kół sposobność poznania nieznanych im dotąd przedsiębiorstw wytwórczości krajowej, ocenienia ich wedle zasługi i stosownego poparcia. Dla nas, hołdujących zawsze jeszcze przemysłowi zagranicznemu, nie umiejących, czy nie chcących ocenić naszego własnego wytwórstwa, wystawy te są bodźcem do zwrócenia uwagi na naszą własną produkcyę i do zainteresowania się nią, a jako taki czynnik mają nieocenione znaczenie.

Dnia 26 sierpnia otwarto w Nowym Sączu wystawę okręgową przemysłu rolniczego, rękodzielniczego i fabrycznego. Piękne to dzieło było rezultatem pracy i zabiegów trzech towarzystw: Rolniczego, Cechu wielkiego i Tow. pomocy przemysłowej. Ich usiłowaniom zawdzięczać należy, że wystawa ta udała się pod każdym względem. Była ona dowodem, że i w naszych miastach podkarpackich idea uprzemysłowienia kraju nie pozostała bez echa, że i tam ludzie nie zakładają apatycznie rąk, wyczekując lepszej doli, ale że zdołali sami z siebie, przy własnych skromnych siłach i zasobach, stworzyć rzecz jak na nasze galicyjskie stosunki, wielką i wspaniałą.

Otwarcie wystawy poprzedziło uroczyste nabożeństwo w kościele parafialnym, poczem komitet wraz z wystawcami i tłumami publiczności udał się na plac wystawowy, pięknie ozdobiony flagami o barwach narodowych. Burmistrz Nowego Sącza, adwokat dr. Barbacki, powitał w serdecznych słowach gości, przybyłych na wystawę, oraz złożył podziękowanie tak inicyatorom wystawy, jak i wystawcom. Następnie imieniem Centralnego Związku przemysłowego wypowiedział wspaniałą mowę dyrektor Związku baron Roger Battaglia, poczem prezes komitetu p. August Fryderyk hrabia Breza w kilku pięknych i pełnych zapału słowach otworzył wystawę.

Wystawa znajduje się na wielkim, kwadratowym placu, przytykającym bezpośrednio do szkoły imienia Mickiewicza, w której salach mieści się wystawa produktów rolniczych i przemysłowa. Plac otoczony pawilonami, gustownie zbudowanymi, zdobi w środku wspaniale urządzona wystawa ogrodnicza, nad którą wznosi się ze smakiem wykończona altana. Na specyalną wzmiankę zasługuje wystawa produktów rolniczych, urządzona staraniem kółek rolniczych z okręgu limanowskiego, nowosandeckiego i grybowskiego. Pozatem bardzo dobrze przedstawia się dział ogrodniczo-sadowniczy, rolniczy dział chowu bydła, oraz dział przemysłowy i maszyn rolniczych.

Zamieszczone obok illustracye przedstawiają: komitet wystawy, ogólny widok placu wystawowego, salę Kółek rolniczych, oraz wystawę cukrowych wyrobów artystycznych p. Józefa Dzięciołowskiego, cukiernika z Nowego Sącza, który za swoje wyroby uzyskał złoty medal.

Czterdzieści lat strażakiem.

Spędzić czterdzieści pełnych lat w ciężkiej, odpowiedzialnej i wielce niebezpiecznej służbie strażackiej, to rzecz istotnie bardzo niezwykła, bardzo rzadka. A jednak w gronie lwowskiej straży pożarnej znalazł się człowiek, który wstąpił w jej szeregi przed laty jeszcze czterdziestu i po dziś dzień ciesząc się czerstwem zdrowiem, pełni dzielnie swe obowiązki.

Człowiekiem tym jest Jan Procajło, starszy sierżant. Rodem on jest ze Lwowa, tam też spędził swą młodość. W r. 1863, na wieść o wybuchu walki o niepodległość narodu naszego, pospieszył w szeregi powstańcze, wziął udział w kilku bitwach, a kiedy powstanie upadło, wrócił do Lwowa i zaciągnął się w szeregi lwowskiej straży pożarnej. I na tem stanowisku doczekawszy się rangi starszego sierżanta, po dzień dzisiejszy pracuje.

Ponieważ praca ta jego trwa już lat czterdzieści, został on odznaczony ustanowionym w Austryi jako nagroda za czterdziestoletnią służbę w jakimkolwiek zawodzie, medalem. Przed kilku dniami odbyło się w strażnicy lwowskiej uroczyste wręczenie p. Procajle tego medalu. W uroczystości wziął udział imieniem rady miejskiej p. Ciuchciński, wiceprezydent miasta, który w ciepłych i serdecznych słowach przemówił do jubilata, poczem przypiął mu zaszczytne odznaczenie. Medal ma po jednej stronie napis: „*Signum laboris fideliter peracti XL annorum*“, po drugiej zaś wizerunek cesarza.

Obok umieszczona rycina przedstawia odznaczonego jubilata, sierżanta Procajłę, w gronie najstarszych członków lwowskiej straży pożarnej.

Wyścigi cyklistów we Lwowie.

Sport rowerowy, jeden z najprzyjemniejszych sportów tegoczesnych, ma we Lwowie, jak zresztą wszędzie, mnóstwo zwolenników. Jest to całkiem zrozumiałe, jazda na rowerze jest bowiem nietylko ćwiczeniem mięśni i pyszną gimnastyką, ale ponadto dostarcza nadzwyczajnej przyjemności jako znakomity środek lokomocyi. Przecież to rzeczywiście przyjemnie, kiedy człowiek, wróciwszy po całodziennej pracy do domu, wsiada na rower i za pół godziny znajduje się już daleko poza miastem, gdzie może odetchnąć świeżem powietrzem i wypocząć na łonie przyrody, zdala od huku i gwaru miastowego. Sport rowerowy uprawiają więc dzisiaj wszyscy prawie, kto tylko może sprawić sobie rower.

Lwowski klub młodzieży cyklistów, niegdyś tak żywy i ruchliwy w urządzaniu wyścigów, przez jakiś czas, zwłaszcza w roku ubiegłym, zleniwiał i nie dawał prawie znaku życia o sobie. Dopiero w roku bieżącym okazał znowu dawniejszą energię. W lipcu urządził wyścigi, które pod każdym względem udały się znakomicie, a zachęcony powodzeniem, powtórzył zajmujące te zapasy w piątek 8 września. Powodzenie było jeszcze większe; publiczność przybyła w jeszcze większej liczbie, a i biegi były bardziej zajmujące. Ogółem można powiedzieć, że klub cyklistów, jakby chcąc wynagrodzić dawną bezczynność, dołożył wszelkich starań, aby wyścigi urządzić jak najlepiej i uczynić je jak najbardziej zajmującemi.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok dwa zdjęcia fotograficzne z ostatnich wyścigów. Jedno z nich przedstawia bieg „gości“, drugie bieg tandemów w chwili rozpoczęcia. Bieg tandemów był jednym z najciekawszych punktów programu.



Wystawa rolniczo-przemysłowa w Nowym Sączu: Sala kółek rolniczych na wystawie.

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez Gastona René.

9 (Dokończenie).

Po tych słowach wyszła Giza powtórnie i na nowo pozostałem sam.

Nie było się już co łudzić, mówiła całkiem seryo. Włóczęga, który powalił mię w sieni na ziemię, był z pewnością gotów popełnić morderstwo. Należało więc tylko wykorzystać czas i uciec. Gdy w domostwie zapanowała znowu śmiertelna cisza, zacząłem próbować, czy nie uda mi się wyrwać małego okienka. Już pierwej próbowałem tego, lecz bezskutecznie. Teraz, pod wpływem pewnego rodzaju rozpaczy, udało mi się otworzyć jedno skrzydło. Na polu nie było całkiem ciemno, bo od czasu do czasu wyzierał księżyc z za chmur i oświecał płaszczyznę podwórza. Nie można jednak było zobaczyć ani żywej duszy, którą mógłbym prosić o pomoc. Począłem tedy rękami szarpać za kraty i nakoniec powiodło mi się jednę z nich wyrwać. Przy tej pracy zeszło mi dość czasu i sądziłem' że Giza powróci lada chwila. Wydartej kraty użyłem jako dźwigni i wyrwałem resztę. Otarłem sobie przytem ręce do krwi, nie zważałem jednak na skaleczenia. Już słyszałem skrzypienie którychś drzwi w domu, gdy przecisnąłem się przez ciasne okno i spadłem na pokryte śniegiem podwórze.

Dokąd miałem się teraz zwrócić, aby dostać się na ulicę, nie miałem pojęcia, lecz nie zatrzymując się ani sekundy, pobiegłem w kierunku wysokiego muru. Śmiałym skokiem dostałem się na wierzch muru, skąd zobaczyłem już ulicę.

Jakiś krzyk doleciał mych uszu.

Zdawało mi się, że wydała go Giza i prawdopodobnie spostrzegła teraz moją ucieczkę. Nie odwracając nawet głowy, zeskoczyłem na ulicę i pobiegłem nią. Nie było tak późno, jak przypuszczałem, to też zastałem jeszcze kilka sklepów otwartych. Dopiero teraz stanąłem, namyślając się, co począć.

Ubranie, które miałem na sobie, chroniło mię dosyć przed zimnem, spostrzegłem teraz, że mam zarzucone ciemne palto i miękki kapelusz filcowy na głowie. Zacząłem szukać po kieszeniach, gdzie znalazłem małą, jedwabną sakiewkę a w niej około 20 franków. Skąd się jedno i drugie wzięło, nad tem nie miałem się czasu zastanawiać. Chciałem jak najrychlej zaopatrzyć się w broń i udało mi się to uskutecznić przed zamknięciem sklepu. Coraz bardziej uspakajałem się i postanowiłem pospieszyć do mojej willi, aby zabrać stamtąd niebezpieczny papier. Gdyby mi się to udało, chciałem wyjechać z Paryża i przebyć jakiś czas w ukryciu.

Gdy zbliżyłem się do domu, zdawało mi się, że widzę cienką smugę światła, która przedzierała się przez zasunięte firanki. Uderzyło mię to i skłoniło do podwojenia ostrożności. Myślałem, że to pewnie złodzieje, którzy korzystali z zamięszania, aby dokonać rabunku. Całkiem mechanicznie przygotowałem broń i zbliżyłem się do okien. Światło jednak w tej chwili zgasło, a ja udałem się do rogu domu, ku żelaznym schodom, prowadzącym do mojej pracowni. Bez szmeru wyszedłem na górę. Nagle stanąłem, jak osłupiały. I tutaj było światło. Ku wielkiemu memu zdziwieniu, zobaczyłem przez szparę między firankami jakiegoś mężczyznę przed mojem biurkiem, które zdawało się wyważone. Obcy, którego twarz mogłem tylko z boku obserwować, pracował przy blasku ślepej latarni i rozrzucił wszystkie moje papiery. Wtem otworzył i skrytkę i zobaczyłem, jak założył ten tajemny dokument, akt ślubny z Londynu i począł go czytać. Nie mogłem już dłużej zapanować nad sobą, podniosłem rewolwer i strzeliłem na ślepo, wcale nie celując. Gdy kawałki potłuczonego szkła upadły mi pod nogi, obudziłem się jak ze snu. Drzwi były już wyważone, a ja stałem jeszcze osłupiały.

Nieznajomy patrzył mi w twarz i teraz począłem uciekać, nie zdając sobie z tego sprawy, co robię. W tej chwili przyszło mi na myśl, że może to być detektyw, który śledził za mną i mojemi tajemnicami.

Uszedłem i pędziłem na jeden z dworców kolejowych, gdzie spodziewałem się zastać pociąg, któryby mię zawiózł do Marsylii. Tymczasem zaczął śnieg padać na nowo i ujrzałem się nagle nad brzegiem Sekwany. Oświetlenie tutaj było bardzo słabe, a nadto padał dość gęsty śnieg. Przedemną stanęła jakaś postać, w której rozpoznałem ku memu przerażeniu Gizę. Musiała mię ścigać i przeszukiwała już prawdopodobnie tę okolicę, w której przypuszczała, że mię znajdzie. Powstała między nami krótka, gwałtowna scena. Ona chwyciła mię w pół, aby przeszkodzić mi iść dalej i wbiła mi w ramię zęby. Odepchnąłem ją od siebie i zobaczyłem, jak upadła na kolana koło poręczy nad Sekwaną. Głośny krzyk, który wydała, musiał kogoś zaalarmować, bo jakiś człowiek poskoczył ku mnie i chciał mię zatrzymać. Odepchnąłem go jednak, nie troszcząc się dalej o niego i popędziłem na dworzec. Kupiłem bilet i w kilka minut unosił mię kuryer do Marsylii. Tam zastawiłem mały pierścionek brylantowy, by żyć, jako nauczyciel muzyki.

Kto był tym człowiekiem, który nadbiegł na krzyk Gizy, tego powiedzieć nie mogę, bo nie mogłem rozpoznać rysów jego twarzy. Odtąd nie widziałem Gizy więcej, a z doniesień policyjnych dowiedziałem się o śmierci hrabiny Kowalskiej i o tem, że policya poszukuje mężczyzny, który w tym czasie kupował bilet do Marsylii. Opanowała mię straszna rozpacz i chociaż Giza już umarła, a ja byłem wolny, nie śmiałem się pokazać, lecz wolałem czekać aż do odkrycia prawdziwych sprawców. Podczas tego aresztowano mię i przywieziono tutaj.



— Zmarły książę! — wykrzyknął głosem, który zdawał się zamierać mu w gardle.

Oto wszystko, co mogę podać, a zarazem straszna tajemnica mego życia! Moją jedyną winą jest to, że milczałem wobec narzeczonej, a to tylko z tego powodu, że drżałem na samą myśl, iż mogę utracić Leontynę. Teraz straciłem wszystko i z wesołego księcia de Bligny stałem się złamanym człowiekiem.

X.

Książę umilkł i przez chwilę panowała w kancelaryi głęboka cisza. Nawet na Lisa, tak zepsutego człowieka, wywarło opowiadanie księcia pewne wrażenie.

Sędzia śledczy zwrócił się do Lisa i zapytał:

— Czy nie masz czego dodać do zeznań księcia, Piotrze Gramont?

— Nie — odpowiedział teraz Lis. — Wszystko jest prawdą, co ten pan opowiedział. Nie chcę także przewlekać całej sprawy, lecz krótko i węzłowato wyjawić to, czego jeszcze pan nie wie.

Markiz de Lerma, w przebraniu, aby go nie poznano, umawiał się ze mną w piwnicy ojca Noego. Przyrzekł on mi większą sumę, jeżeli usunę, o ile możności najpewniej i bez rozgłosu pewnego pana, którego mi dokładnie opiszę. Zgodziłem się, bo pomyślałem sobie, że czy ogłuszę ofiarę, czy pozwolę jej zniknąć, to nie obchodzi nic tego, od kogo otrzymałem polecenie. Najpierw musiałem mu wyszukać chłopaka, któryby umiał obchodzić się z końmi. Oprócz tego musiał on posiadać wspaniałe świadectwa, żeby mógł znaleźć miejsce w znakomitym domu. To nie było rzeczą trudną. Wspaniałe świadectwa zfałszowano i pod nazwiskiem John'a Franklin'a dostawiono do willi księcia de Bligny jednego z moich kolegów.

Sędzia śledczy podniósł głowę:

— Gdzie znajduje się ten John Franklin? Czy nie mógłbyś nam o tem powiedzieć? Woźnica, który powoził pojazdem księcia na ulicę św. Marcina, zniknął od owego przedpołudnia.

Lis wzruszył ramionami.

— I ja nie widziałem więcej mojego kolegi. Wolał on z otrzymanymi pieniądzmi umknąć zaraz z Paryża. Co do reszty, to łatwo da się wyjaśnić — odpowiedział Lis cynicznie.

Markiz de Lerma poznał mię z pewną damą, którą tytułował hrabiną. Stało się to w jednym z opuszczonych domów przy ulicy św. Marcina. Tam miałem się w oznaczonej godzinie zaczaić w sieni i dokładnie mi określonego pana, który wejdzie na korytarz obalić, a potem w piwnicy zamordować. Przedtem jednak miałem mu odjąć prawą rękę. To ostatnie żądanie uważałem za niezwykłe, ponieważ jednak markiz i hrabina upierali się przy niem, przystałem tedy.

W trakcie sprawy pomyślałem jednak, że ostatecznie nie potrzebuje to być ręka księcia. Tę samą służbę mogła spełnić inna martwa ręka!

Już w nocy przed owym ranem, stawiłem się w wskazanym domu i wtedy rozmawiałem tajemnie z hrabiną. Zdawało się, że zmieniła swoje postanowienie co do zabicia księcia, chciała jednak koniecznie posiąść jego prawą rękę. Miałem na to radę i hrabina zgodziła się. Z markizem de Lermy, który musiał przyrzec swe usługi hrabinie, nie widziałem się tego dnia. Pieniądze miałem otrzymać zaraz po dostarczeniu ręki trupa. Oddaliłem się na parę godzin i gdym powrócił rano, oddałem hrabinie trupią rękę, którą dostałem za pośrednictwem grabarza z St. Louis. Wkrótce potem nadszedł książę. W jaki sposób został napadnięty, słyszał pan z jego własnych ust. Zdjąłem z niego suknie, wsadziłem jego pierścień na martwą rękę, którą hrabina włożyła do czarnej szkatułki, a mnie oddaliła pospiesznie z garderobą księcia, by w nią ubrać już zeszpeconego do niepoznania trupa. Rzuciliśmy, przez nikogo niewidziani, zwłoki do Sekwany i oczekiwaliśmy spokojnie, aż je gdzieś wyłowią i uznają za martwego księcia.

Pieniądze otrzymałem od hrabiny zaraz po powrocie. Początkowo zamierzałem opuścić Paryż, lecz kilku dobrych przyjaciół okradło mnie, dlatego wyszukałem markiza po raz drugi i zażądałem od niego pieniędzy. Hrabiny nie znalazłem, bo byłbym poszedł do niej. Przy tem spotkaniu w piwnicy ojca Noego uwięziono mnie. Więcej nic nie wiem; możecie ze mną robić, co się wam podoba.

Sędzia wydał rozkaz, by Lisa odprowadzono napowrót do więzienia. Zdawał się chwilę namyślać, potem rzekł, zwróciwszy się do księcia:

— Proszę wejść na chwilę do pobocznego pokoju. Chciałbym pana skonfrontować z markizem de Lermą, którego śmy również uwięzili. Wprzód jednak chciałbym zadać mu parę pytań.

Książę, milcząc, pozwolił się odprowadzić.

Po kilku minutach wszedł markiz do pokoju

sędziego. Był trochę blady, a jego zapadłe oczy ciskały jadowite błyski na sędziego.

Sędzia rozpoczął natychmiast:

— Pytam pana, panie markizie, czy jesteś pan zdecydowany wyjawić mi stosunek, jaki łączył pana z hrabiną Kowalską, dawną Gizą Cornary? Proszę nie szukać żadnych wykrętów, bo dzisiaj rano dowiedziałem się o wszystkiem z najdrobniejszymi szczegółami. Czy zechce pan przyznać, że umówiłeś się z hrabiną, by zamordować księcia de Blihny, małżonka jej, a rękę jego posłać do pałacu barona de Brepont?

— Nie, ani myślę przyznać się do czegoś podobnego! — wykrzyknął markiz, lecz w głosie jego nie było zwykłej pewności.

— W takim razie może mi pan odpowie na drugie pytanie: Czy nie żywił pan jakichkolwiek nadziei co do ręki baronówny Leontyny de Brepont?

— Odmawiam odpowiedzi!... — zazgrzytał markiz.

— To mi wystarcza! — rzekł sędzia. — Dzięki Bogu jesteśmy już blisko rozwiązania tej tajemniczej zagadki!

Pocisnął guzik; we drzwiach stanął urzędnik, który poprzednio wyprowadził księcia. Jedno skinienie i sędzia został zrozumiany.

Markiz de Lerma niespokojny, rzucał od czasu do czasu wzrokiem na cicho stojącego Bernarda. Tego człowieka nienawidził bezgranicznie.

Nagle podniósł głowę.

Z pokoju, obok położonego, wyszła postać i ledwie markiz ją poznał, cofnął się, wyciągając ręce przed siebie. Twarz zbladła mu śmiertelnie i jakieś drżenie przebiegło po całem ciele.

— Zmarły książę! — wykrzyknął głosem, który zdawał się zamierać mu w gardle.

Podczas gdy Anatol de Bligny stał spokojnie, markiz zataczał się tak, że detektyw musiał go wesprzeć. Posadził go na krześle i szepnął mu w ucho:

— Czy zechce pan się teraz przyznać?

— Do wszystkiego, co tylko chcą odemnie — wyjąkał, chwytając oddech.

Księcia odprowadzono napowrót do celi, a markiz de Lerma, kompletnie złamany, złożył zeznanie. Spodziewał się on zyskać rękę Leontyny, gdy książę zniszczył nagle jego nadzieje. Od tej chwili znienawidził go serdecznie. Przypadkiem poznał się z hrabiną Kowalską i dowiedział się, o tajemnicy, w której książę de Bligny grał szczególną rolę. Pracował nad tem, by zazdrość i nienawiść spotęgować do najwyższego stopnia. Krótko przed ślubem powrócili do Paryża i markiz umówił się z hrabiną, by księcia zabić. Oddawał jej przez to wielką przysługę, jak przypuszczał, przez co torował i sobie drogę do Leontyny de Brepont. Jednak wszystko poszło inaczej, jak zamyślał. O tem, że księcia nie zamordowano, nie wiedział i dlatego zjawienie się jego wywarło na nim takie wrażenie.

Tutaj zatrzymał się markiz de Lerma.

Sędzia musiał jednak powziąć już jakieś postanowienie, bo zwrócił ostry wzrok na markiza i rzekł zimno:

— Przyznaje pan tedy, że zamordowałeś hrabinę Kowalską i wrzuciłeś ją do Sekwany?!

— Skąd pan wie i o tem? — wyrwało mu się

Lecz w najbliższej chwili poznał, że się zdradził.

„Szklane oczko“ doradził podczas przerwy sędziemu, by zaskoczył podsądnego przez takie pytanie i podstęp udał się znakomicie.

Nie pomogło mu nic i musiał opisać całe zdarzenie. Wyjaśnienie było całkiem proste. Owej nocy udał się również do starego domu na ulicę św. Marcina, aby rozmówić się z hrabiną. Nie spotkał jej jednak, a w hotelu powiedziano mu, że hrabina zamyśla wyjechać.

Zły, że wspólniczka nic mu o tem nie powiedziała i jak się zdawało, chce mu ujść, wybiegł i przyszedł w pobliże dworca. Zobaczył przed sobą jakąś postać niewieścią, za którą pewien czas szedł, lecz potem stracił ją z oczu.

Potem usłyszał krzyk i zobaczył dwie postaci, które prawdopodobnie pasowały się.

Spiesznie nadbiegł bliżej i zetknął się z jakimś mężczyzną, którego z powodu ciemności, nie poznał. Otrzymał pchnięcie w piersi, a tamtem zbiegł natychmiast.

Rozchodziło mu się głównie o to, by poznać, kim jest ta kobieta, która podniosła się właśnie z ziemi. Kilka słów wystarczyło, aby go upewnić, kogo ma przed sobą. Hrabina była jak oszalała. Krzyczała coś i chciała się puścić w pogoń za uciekającym, a gdy markiz chwycił ją za rękę, uderzyła go pięścią. Obawiał się, by ktoś z przechodniów nie usłyszał krzyku Gizy i nie wziął go nawet za mordercę, przeto zatkał jej usta. Przez to pogorszył jeszcze sprawę, bo Giza zaczęła wzywać policyi. Wtedy chwycił ją i wrzucił do Sekwany.

Sędzia spisał zeznania markiza protokolarnie i kazał go odprowadzić.

Jeszcze w ciągu tego samego dnia doniósł dozorca więźniów, że markiza Lermę znaleziono nieżywego w jego celi. Powiesił się on na skręconej chusteczce.

Dalsze śledztwo poszło szybko. To, co Lis mógł zeznać, zeznał wszystko. Oczekiwało go dłuższe więzienie, lecz nie ciążyło na nim morderstwo.

Książę de Bligny otrzymał w przeciągu 24 godzin po odsłonięciu tajemnicy swego życia wiadomość, że zostaje wypuszczony z więzienia śledczego Czekała go jeszcze rozprawa o strzał, dany na Bernarda, lecz wyrok nie mógł wypaść źle, ponieważ książę musiał w nim widzieć złodzieja.

Następnego dnia popołudniu zjawił się w więzieniu stary Franciszek z pełnym kufrem ubrań. Stary był tak wzruszony, że nie mógł wymówić ni słowa. Książę był poważny i milczący.

Niespodziewana wiadomość, że został wypuszczony z więzienia śledczego, nie zrobiła na nim wrażenia. Wyraz boleści nie znikł z jego oblicza.

W powozie, który sprowadził Franciszek, opuścił pałac sprawiedliwości i odjechał do swego mieszkania.

Gdy usłyszał za sobą zamykającą się bramę, wyrwało się z piersi jego głębokie westchnienie.

Z jakiemi nadziejami przejeżdżał przed kilkoma dniami przez tę bramę, a jak powracał dzisiaj!

Czuł, że otrzymał ranę, której nigdy nie wyleczy. Przez wargi przemknęło się imię jego narzeczonej. Leżała ona ciężko chora w domu ojca, który z pewnością zamknął się przed nim na zawsze. Nigdy mu z pewnością tego nie daruje, więc nie pozostało mu nic innego, jak opuścić co najrychlej Paryż, by pod obcem niebem szukać ukojenia bolu i rozpaczy.

Dom wydawał mu się pustym, gdy wszedł do niego i godzinami siedział w swym pokoju, patrząc przed siebie.

Prędko dowiedziano się, w jaki sposób zakończyła się sprawa o tę senzacyjną zbrodnię. Dzienniki podały sążniste artykuły, a także baron Brepont wiedział wszystkie szczegóły.

Czy mógł jednak uwiadomić Leontynę o wypadkach?

Wahał się jeszcze długo, drżąc o życie dziecka, gdy pewnego razu weszła Leontyna. Zdrowa natura przemogła chorobę.

Leontyna chwyciła się przy wejściu portyery, a baron podbiegł do niej z okrzykiem boleści.

— Cóż ci brakuje?

W tej samej jednak chwili zobaczył w jej rękach gazetę. Teraz już wiedział, co zaszło. Poprowadził córkę do krzesła, zauważył jednak ku wielkiej swej radości, że Leontyna przyszła już do siebie.

— On jest niewinny, całkiem niewinny! — wykrztusiła.

Łkanie dobyło się z jej piersi i przeszła nagle w straszny śmiech.

Zmięszany baron wpatrzył się w córkę, której policzki pokrył gorączkowy rumieniec.

— Kochasz go jeszcze zawsze, dziecko — wyrzekł i coś, jakby nadzieja, rozlało się po jego obliczu. — Lecz on oszukał nas, tając przed nami swe pierwsze małżeństwo.

— Czynił on tylko z powodu mnie, ojcze — odpowiedziała Leontyna. — Dlaczego ucieka od nas, gdy ja przecież usycham za nim z tęsknoty.

Baron ujął Leontynę w swe ramiona, a w niespełna dwadzieścia minut opuścił w powozie pałac.

Przygotowania do podróży księcia de Bligny były ukończone i ciężko dotknięty ten człowiek zamyślał następnego dnia opuścić Paryż. Myśl o zobaczeniu Leontyny przed rozstaniem, nie opuszczała go ani na chwilę. Nie znajdował jednak sposobu, jakby to uskutecznić. Dlatego chciał kilku słowami przynajmniej pożegnać ukochaną.

Gdy skończył list i podniósł się z ciężkiem sercem, zameldował Franciszek, z twarzą, w której przebija radość i trwoga, jakiegoś pana.

— Nie przyjmuję nikogo — rzekł ponuro książę.

— A może dla mnie zrobi pan wyjątek — odezwał się baron de Brepont, wchodząc do pokoju księcia.

Ten nie wierzył własnym oczom, wyjąkał kilka słów i oparł się o biurko.

— Jak widzę, pisałeś pan list a koperta adresowana do mnie — ciągnął baron dalej, rzuciwszy okiem na biurko. — Pozwoli pan, że go odrazu przeczytam!

Z uśmiechem rozdarł baron kopertę i przebiegł list oczyma; spoważniał nagle, gdy go chował do kieszeni i zwrócił się do księcia:

— Podaj mi pan rękę, Anatolu — rzekł wzruszonym, prawie drżącym głosem. — W ostatnich dniach przecierpieliśmy niewymownie dużo! Było to doświadczenie, które wystarczy na całe życie! Dlaczego nie pytasz o narzeczoną? Mam przecież prawo myśleć, że interesujesz się Leontyną!

Nagły rumieniec wystąpił na twarz księcia.

Ujął wyciągniętą ku niemu rękę barona i jak powódź popłynęły słowa przez jego usta. To, że dochowa do końca życia miłości dla Leontyny, musi przyznać nawet największy jego nieprzyjaciel i że nad wszystkiemi jego występkami poprzedniego życia świeci mu ta miłość, jak gwiazda!

Co jeszcze powiedział dalej, to było może bezsensowne, lecz twarz barona, słuchającego tego, przybrała napowrót wyraz zadowolenia i szczęścia.

— Dlaczego chcesz pan wyjeżdżać? — zapytał, gdy książę zamilkł wreszcie na chwilę i jeżeli masz już pan tak stanowczy zamiar, to poczekaj przynajmniej do wesela i zabierz potem ze sobą Leontynę!

Z łkaniem rzucił się książę w ramiona swego teścia.

Nie potrzebujemy chyba zaznaczać, że baron zabrał z sobą księcia. Także scena, która rozegrała się tam, pomiędzy Leontyną a uważanym za umarłego narzeczonym, przebiegła wśród łez, aby skończyć się ogólnym uściskiem.

W tak senzacyjny sposób przerwane małżeństwo księcia z Leontyną, odbyło się w tym samym kościele w 14 dni później. Może przeciągły się tymczasem oblicza obydwojgu, lecz w ich oczach błyszczała słodka nadzieja na zawsze wywalczonego szczęścia.

Baron de Brepont, którego wypadki nie mniej dotknęły, zauważył w dzień ślubu, że włosy poczynają mu siwieć na skroniach, lecz nie robił sobie z tego nic, bo w sercu jego zapanowały napowrót wesołość i zadowolenie.

— — — — — — — — — — — — — —

Lis został skazany na dłuższe więzienie i słuch o nim zaginął.

Tylko „Szklane oczko“, powszechnie wystrzegany detektyw Bernard, oddaje ciągle usługi paryskiej policyi i czeka na najbliższą interesującą zbrodnię.

Co mu się nie udało, to to, że nie zdołał wyśledzić, czyje to były zwłoki, które podstawiono za księcia de Bligny.

Mimo pilnych poszukiwań pozostało to nierozwiązalną zagadką.

KONIEC.

Kącik humorystyczny.

Cięty.

Znany z ciętego dowcipu doktór M. odwiedził niedawno pracownię młodego artysty-malarza *** chorującego od jakiegoś czasu na manię wielkości.

— No jakże maluję teraz? — pyta artysta mecenasa.

— Zdaje mi się, że przed rokiem robiliście o wiele lepiej.

— Ależ mecenasie — broni się przyszła sława — przed rokiem nic nie robiłem.

— No właśnie dlatego — przerywa mu doktór M.

Nasze dzieci.

Pan X spotyka swego synka beczącego w głos na ulicy.

— Co ci to Franiu? — pyta malca rozczulony — Kto ci to zrobił?

— Mama mi powiedziała, że jestem przebrzydły smarkacz!

— I o to tak bardzo płaczesz?

— E! to jeszcze nic, ale powiedziała także, że ze mnie będzie taki sam nicpoń, jak z taty.

W oburzeniu.

Ciotka: No, Marynin, co ci się też pierwszej nocy pod moim dachem śniło? Pierwszy bowiem sen miewa zawsze swoje znaczenie.

Marynia (śmiejąc się): Ha! ha! ha! Niech ciotunia tylko słucha. Śniło mi się, że wujcio jak szalony mnie całował.

Ciotka (wściekła do męża): Ależ Janie! Raz na zawsze zabraniam podobnych bezeceństw!

Nowe gniazdo Sokole w Dziedzicach.

Jednym z najsilniejszych zewnętrznych objawów żywotności i krzepkości społeczeństwa polskiego — przedstawicielem niejako dążności i postulatów narodu, widomym znakiem jego tężyzny i siły — jast stowarzyszenie gimnastyczne „Sokół". Miarą zaś uznania społeczeństwa dla tej użytecznej instytucyi – rozszerzanie się jego. Dziś — śmiało powiedzieć można—„Sokół" oplótł gęstą siecią kraj cały po najdalsze kresy i granice dawnej Polski. Nie mówiąc już o większych miastach — nie ma



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Nowe gniazdo Sokole w Dziedzicach: Prezes „Sokoła" Stanisław Kmiecicki.



Czterdzieści lat strażakiem: Grupa lwowskich strażaków, między nimi odznaczony medalem sierżant Jan Procajło (x). (Treść na str. 9).

dziś w Galicyi miasteczka, niema prawie większej wsi, skądby nie powiewał sztandar sokolski, skupiający około siebie dzielne i karne zastępy „druhów", skądby nie rozbrzmiewał wzniosły hymn „Sokołów". To też cały naród patrzy z dumą i otuchą w przyszłość na tę falangę rodaków, która wystąpiła w bezkrwawy, a chlubny bój przeciw największym wrogom społeczeństwa: zniewieściałości, fizycznemu charłactwu i niedołęstwu. Sokół, rozwijający działalność swoją od 20 lat przeszło, wychował tysiące dzielnych fizycznie i moralnie ludzi, przygotowując ich cieleśnie i duchowo do wielkich zadań, które przyszłość i historya narodowi naszemu postawi. Nietylko bowiem ściśle na fizycznem wychowaniu ogranicza się misya „Sokoła". Karność, posłuch, solidarność, pielęgnowanie uczuć patryotycznych — leżą zarówno w programie Stowarzyszenia, jak wyrabianie sił fizycznych i cywilnej odwagi.

To też każdorazowe zajęcie nowego posterunku przez „Sokoła" jest nader pocieszającym objawem u nas — a dla metropolii jego prawdziwem świętem i tryumfem.

Tryumfalne święto takie święcił „Sokół" tymi



Wystawa rolniczo-przemysłowa w Nowym Sączu: Ogólny widok wystawy. (Treść na str. 8).

dniami w Dziedzicach. Na uroczyste poświęcenie dziedzickiego „Sokoła“ zjawili się delegaci z całego okręgu krakowskiego i górnośląskiego. Prócz urzędowych przedstawicieli Sokolstwa, przybyli, jako goście, druhowie z Jaworzna, Karwiny, Bielska, Sierszy. Chrzanowa. Oświęcimia, Michałkowic, Frysztatu, Cieszyna, Bochni, Żywca, Andrychowa, Biały i Kęt.

Wczas rano odbyły się, według programu, na obszernej łące, próbne ćwiczenia, po których w paradnym pochodzie udano się do kościoła. Podczas Mszy św. śpiewał na chórze chór Sokoła z Kęt, a na zakończenie nabożeństwa przemówił w podniosłych słowach z ambony do zgromadzonych miejscowy proboszcz, ks. Firla. Potem z tysiąca piersi podniósł się błagalny hymn „Boże coś Polskę“ — a echo modlitwy za wolność i ojczyznę biegło ze świątyni wstrząsającemi akordami na pola i lasy okoliczne. Po nabożeństwie odbyła się w gmachu „Sokoła“ wspólna uczta, w której wzięło udział dwieście kilkadziesiąt osób. Wśród nich było wielu rodaków z pod rosyjskiego i pruskiego zaboru. Teraz posypały się przemówienia i toasty, jak z rogu obfitości. Zgromadzenie powitał prezes p. St. Kmiecicki, kończąc toastem za zdrowie braci naszych z pod obu zaborów. Przemawiali następnie z Krakowa druh Śliwicki, delegat wydziału górnośląskiego, a na zakończenie jedna z nowych nadobnych Sokolic i proboszcz ks. Firla. Dr. Malec z Tarnowa wniósł ostatnie zdrowie, nasze staropolskie „Kochajmy się“!

Po południu odbyły się w lasku ćwiczenia zlotowe, w których udział wzięło 73 druhów. Miły dla oka i serca był widok umundurowanych rosłych postaci, które, jak jeden mąż, wykonywały na komendę piękne ćwiczenia z zakresu szwedzkiej gimnastyki, poczem nastąpiły popisy na przyrządach. Pamiętny w dziejach Sokolstwa ten dzień, zakończony został wielkim festynem i zabawą taneczną, w której Sokolice nasze rywalizowały ze sobą urodą i wdziękiem, Sokoli dzielnością i sprawnością w tańcu.



Muzyka amatorska szkoły ludowej w Lesznowie: Członkowie orkiestry podczas próby na wolnem powietrzu. (Treść na str. 15).

Ogółem przybyło do Dziedzic 119 druhów umundurowanych i stu kilkudziesięciu ubranych po cywilnemu. Młodziutkie gniazdo w Dziedzicach liczy już z górą 70 członków, a liczba ta rokuje jak najpiękniejsze nadzieje na przyszłość.

Dla upamiętnienia uroczystości podajemy w numerze dzisiejszym zdjęcie fotograficzne członków miejscowego „Sokoła“ wraz z przybyłymi na uroczystość gośćmi — oraz podobiznę prezesa dziedzickiego „Sokoła“ p. Stanisława Kmiecickiego.



Nowe gniazdo sokole w Dziedzicach: Grupa członków „Sokoła“ dziedzickiego wraz z gośćmi, zebranymi podczas uroczystości poświęcenia sokolni. Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Zygzakiem.

(Cholera. — Teatr krakowski).

Kilkakrotnie już, w ostatnich lat dziesiątkach, kraj nasz znajdował się pod grozą epidemii, zapisanej złowrogo w pamięci ludności galicyjskiej, a związanej tak blisko z piękną kartą wspomnień c. k. rządu austryackiego i jego „czynów“ w 1846 r. Wówczas to bowiem po krwawych wypadkach, niby boży gniew, szalała groźna zaraza. Od tego czasu wiele się zmieniło. „Nieubłagani“ pojednali się, krzywdy puszczono w niepamięć, puszczono również z kwitkiem za drzwi zaślepiony lud, który uszczęśliwiono wolnością pod egidą c. k. egzekutorów podatkowych i rad powiatowych, do czego dodano kilka kryminałów.

Z tego znowu (nie z kryminału, jeno z wolności) wynikła nietylko ta korzyść, że obecnie lud galicyjski obj wia ducha pojednania przy każdych wyborach, ponieważ wziął sobie do serca dewizę c. k. namiestnictwa we Lwowie: „z szlachtą polską polski lud“ (przedstawicielem szlachty jest u nas pan starosta), ale także korzyść druga, że p. Leo nauczywszy się sztuki aktorskiej w akademii pod „stańczykiem“, uszczęśliwił miasto Kraków i racył z siać prezydentem tego miasta. Z tego zaś wynikło, że mamy obecnie wielki Kraków za rogatkami, sadzawkę na plantacyach, nowego przedsiębiorcę teatralnego p. Solskiego i wiele innych jeszcze korzyści. Śledząc bacznie „przyczynowość“ biegu wydarzeń kierowanych czujną ręką Opatrzności“, (z wstępnego artykułu „Czasu“ w sprawie ugody polsko-rosyjskiej), musimy przyjść do przekonania, że między ową starą cholerą, a tymi, wyżej wyliczonymi zdarzeniami, zachodzi wyraźny związek, co nas zniewala do ukorzenia się przed tezą — „niema niczego złego — coby na dobre nie wyszło“. Komu zaś owe złe na dobre wyszło, to do rzeczy nie należy.

Widzę, że zaczynam się błąkać w nawale idei. Zamiast pisać o cholerze, piszę o autonomii, o p. Solskim, o karyerze p. „Lea“ (musiałem wyrazić się w ten sposób, gdyż p. Leo nie ma kilku przypadków, na co nawet „Poradnik językowy“ poradzić nie może), a idąc tak dalej gotówem zejść na tematy zupełnie do programu dzisiejszej kroniki nie należące, np. na zasługi dyrektora Flatana około umoralnienia ludności „wielkiego Krakowa“ albo na historyą o „wielkim rogu“, który, jak wiadomo, z archiwum górniczego w Wieliczce, d stał się „w posiadanie“ barona Rotschylda... Byłyby to zboczenia zbyt wielkie, może mało interesujące, możeby zawarte w nich twierdzenia i hipotezy zakwestyonowano równie stanowczo, jak to uczyniono co do tak zwanego „bezinteresownego programu podniesienia teatru“ p. Solskiego. „Nie chcę i dlatego wolę cierpieć i milczeć“ — jak powiada jeden z polskich poetów, który nie miał szczęścia znać się osobiście z recenzentami, ani być „krewnym“ jednego z członków redakcyi „Czasu“ i dlatego umarł w zapomnieniu.

Wracam więc do cholery. Czytelniku, nie lękaj się. Wiem, co w tej chwili pomyślałeś. Mniej więcej tak: „Masz tobie, nie dość, że we wszystkich pismach codziennych całemi szpaltami pakują w ludzi choleryczne artykuły, nie dość, że telegramami trwożą spokojnych mieszkańców i napędzają im Pietra, jeszcze i tu, w piśmie, do rozrywki, do zapomnienia o codziennych troskach przeznaczonem, muszę się spotkać z taką samą gadaniną“. — Otóż proszę o cierpliwość, kochany czytelniku. Nie trzeba się dać unosić nerwom, z czego niepokój i złe trawienie. Czyż nie widzisz, jakie bujne owoce wydaje cierpliwość? Spójrz na p. Michała Chylińskiego, byłego suplenta gimnazyalnego, byłego administratora „Czasu“, potem tego pisma redaktora, potem prezesa zjazdów słowiańskich dziennikarzy, potem wiceprezydenta miasta Krakowa, no, a teraz wicedyrektora kasy oszczędności. Co to znaczy cierpliwość, milczenie i wytrwałe, a mądre myślenie cudzymi myślami..

Tak więc i Ty czytelniku kochany bądź cierpliwy, bo o tej cholerze powiem ci zupełnie coś nowego.

Jeżeli jesteś nie dzisiejszy, to na podstawie własnego doświadczenia przyznasz mi, że może przy żadnej sposobności tak jaskrawo nie ujawnia się w naszym kraju, brak ładu, rozsądku, szczerości w pracy, jak przy działaniu, mającem niby na celu zapobieganie zarazie. Bladze i łgarstwu niema końca, bo jest spos bność do popisywania się w różny sposób, a nadewszystko sposobność do pobierania dyet za komisye sanitarne, za sprawozdania, posiedzenia, pouczania i t. d. Zobaczymy w budżecie miasta i kraju, ile to wszystko kosztowało i jeżeli porównamy rozmiary tego pustego wrzasku z tem, co przez to osiągnięto, przyjdziemy do przekonania, że widmo zarazy dlatego nas ominęło, bo zaraza nie przyszła do kraju...

Zamiast po prostu najkrótszymi drogami wziąść się do zabezpieczenia ludności, trąbi się o działaniu, o pracy różnych „miarodajnych czynników“, a wszystkie zarządzenia zamieniają się w praktyce przeważnie na szykanę biednej ludności, a na prowincyi, jak uczy doświadczenie, są nawet po wsiach środkiem nękania źle widzianych w c. k. starostwie agitatorów politycznych.

Ktoby się chciał przekonać o prawdziwości moich zapatrywań, niechaj zbierze komisyę, nie magistracką, ale z grona wolnych obywateli i niechaj ta komisya, obejdzie np. realności pp. radców miejskich w Krakowie i zajrzy, co się tam po podwórzach dzieje. niechaj ta komisya wyjrzy za rogatkę warszawską i skonstatuje, co zrobiono, aby ów sławny kanał cmentarny zdesynfekcyonować, niech zajrzy wreszcie do mieszkań biednych stróżów i dowie się, co uczyniono, aby zapobiedz strasznym warunkom egzystencyi, w jakich przeważnie żyją, a przez to usunąć wielkie niebezpieczeństwo zaraźliwych chorób..

Akcya zapobiegawcza nie wymaga wcale, aby p. protomedyk tłukł się po kraju za wysokiemi dyetami. Każdy lekarz okręgowy będzie umiał i wiedział, co czynić, by ustrzedz swój okręg przed zarazą, byleby mu dano do dyspozycyi od owiednie środki.

Ale w naszej Galicyi, kraju wielkiej polityki i wielkiej, a zawsze patryotycznej — blagi, inaczej być nie może. Najpierw wszask, reklama, obietnice, a potem rozdrapywanie zasług za to, co się stało bez niczyjego przyczynienia.

Ostatnie zdanie przerzuca mnie do drugiej części tematu dzisiejszej pogadanki o krakowskim teatrze. Jest to również typowo galicyjska sprawa. Gdzieindziej, na świecie, do konkursu na posadę dyrektora, a właściwie przedsiębiorcy teatru, stają ludzie jawnie, otwarcie, z podniesionem czołem, słowem, choć używają ubocznych wpływów, przecież jest w tem wszystkiem jakaś kulturna forma, jakaś przyzwoitość. W Krakowie musiało być inaczej... Najpierw na parę lat przed ustąpieniem Kotarbińskich, p. Solski, nie zdradzając się z planem objęcia teatru krakowskiego, „bo zkiem“ chodził po krakowskiej prasie, nauczony wydatnem doświadczeniem, zebranem w tym kierunku zarówno we Lwowie, jak w Warszawie, podczas występów „swojej żony“. Potem poszedł do p. Andrzeja Potockiego, namiestnika, a p. namiestnik polecił znowu autonomicznie prezydentowi panu Leo — (straszna rzecz z tą odmianą) aby przy „wolnym wyborze“ przeforsował za każdą cenę Solskiego, który nietylko obiecuje odnieść teatr na „wyżyny“, ale także wie od Mikuckiego, że na teatrze krakowskim robi się pieniądze.

P. Leo, zwyczajny do krętych dróg, urządził znowu komedyę wielce wstrętną, aby uczynić zadość woli c. k. namiestnika, a nie dopuścić do objęcia teatru poważnego i przez ogół popieranego kandydata Wyspiańskiego Do tego celu prowadziło wysunięcie p. Bandrowskiego, jako kandydata i wszystkie dalsze kompromitacye p. Lea. Założyłbym się, że był to pomysł Solskiego, bo Ludwiś jest „spryciarz“ i jak się to mówi... jamnik.

Dostał nareszcie p. Solski krakowski teatr, pocynił daleko idące obietnice, z których sam w kułak się śmiał, przybrał pozę i zaczął... od rozbicia teatru ludowego, jako niebezpiecznego dla siebie konkurenta. Rozbicia tego dokonał w ten sposób, że licząc na uczucie ambicyi młodych aktorów, którym musi pochlebiać należenie do składu personalu miejskiego teatru, „zaangażował ich“ płacąc im po 60 koron miesięcznie gaży, a niektórym nie płacąc nic, tylko po cztery korony od występu. Cel został osiągnięty, kilka najlepszych sił teatru ludowego sprytny p. Solski w ten sposób związał i istotnie utrudnił przez to niesłychanie stworzenie teatru ludowego, tak potrzebnego, a nawet koniecznego w Krakowie.

To byłoby jednak za mało, p. Solski ubił przy tem drugą muchę. Pozbył się kilku sił wybitnych, które kosztowały drożej, a nabył na razie mierne, za tanie pieniądze. A potem w imię wielkich aspiracyi artystycznych, w imię idei podniesienia teatru pod hasłem naprawienia tego, co było złe za Kotarbińskich, którzy „zbijali pieniądze“ — p. Solski poobsadzał odpowiedzialne role początkującymi aktorzykami za gażą od 60 do 160 kor. i taką szkółkę dramatyczną narzuca publiczności krakowskiej, która przecie zna się na teatrze, i jest na tyle naiwnym, iż sądzi, że publiczność ta uwierzy, z jednej strony, w wysoki poziom artystyczny tego teatru, z drugiej zaś, artystyczną bezinteresowność p. Solskiego. Jestem przekonany, że publiczność sama, przeczytawszy te słowa, zdumieje, widząc wypisane wszystko to, co sama już spostrzegła. Prasa nasza bowiem w Krakowie, prócz sprawozdawcy „Naprzodu“, który zachowuje zawsze niezależność, jest do dostania różnemi sposoby, a najlepszym tego dowodem ckliwe i wprost abominacyę budzące hymny „recenzentów“ na cześć nowej dyrekcyi, hymny równie śmieszne, jak przesadna reklama dla p. Solskiej, reklama, wywołująca wprost przeciwny skutek.

Mając szkółkę, zabrał się oczywiście p. Solski do roboty, jak prawdziwy przedsiębiorca. Zmieniwszy obsadę starych ról, zwykle na gorszą niż dawniej, wytrzymuje aktorów na próbach od 9 rano do 4 i 5-ej po południu, bo „kuje“ podczas prób role z „kołkami“ po 60 koron. Wyrzuciwszy na bruk aktora użytecznego, ojca trojga dzieci, pana Senowskiego, który doskonale uczył chórów i śpiewów podczas prób porannych, wziął na jego miejsce jakiegoś urzędniczynę, który jednak może przychodzić na próbę tylko o 5 wieczór — aktorzy więc, którzy mają to nieszczęście należenia do chórów, muszą jeszcze po całodziennej próbie ze sztuki, iść na próbę śpiewu o 5-ej, a potem grać wieczór w przedstawieniu. Gdy się jeszcze doda do tego nową oszczędność w formie zniesienia skromnego wynagrodzenia za przedstawienia popołudniowe, ujawni się odrazu wysoki poziom „idei artystycznych“, na którym stoi nowy przedsiębiorca, mający „poprawić“ teatr po Kotarbińskich.

Nie dziw, że publiczność sarka, nie dziw, że wśród personalu teatralnego zapanowało zniechęcenie, że kilka osób już odeszło, a o ile nam wiadomo, wkrótce ma odejść jeszcze kilka sił wybitniejszych, nie mówiąc już o przyszłym sezonie. Zostanie wtedy pan Solski w otoczeniu takich artystów, jak jedna z nowozaangażowanych ze Lwowa za gażą 60 koron miesięcznie.

Słowem jest źle, a zaznaczając całe uznanie, jakie mamy dla p. Solskiego jako artysty, chcielibyśmy przestrzedz go przed zbyt skwapliwem robieniem interesu kosztem publiczności i wartości teatru. Pan Solski, nie śpiesząc się, także się grosza dorobi i nikt mu tego za złe nie weźmie — ale radzimy strony nie przeciągać, tembardziej gdy faktycznie po odejściu Mrozowskiej, Mielewskiego, Rutkowskiej, Konarskiej i wielu młodych teatr dziś jest słabszy, znacznie słabszy, niż za Kotarbińskich. *Vide.*

Jadwiga Kościukówna.

(Do portretu).

Przed pięciu laty, w ostatnich tygodniach istnienia we Lwowie sceny Skarbkowskiej, ogłosiły afisze teatralne debiut nieznanej dotychczas artystki, p. Jadwigi Kościukówny, w jednoaktowej sztuce Copee'go p. t. „Przechodzień“. Debiut ów, choć przyjęty na ogół dość życzliwie, przeszedł jednak bez większego wrażenia. P. Kościukówna do teatru lwowskiego zaangażowaną nie została, wystąpiła tylko kilkakrotnie w teatrze ludowym miłośników sceny, poczem znikła ze Lwowa.

Dopiero przed kilkunastu dniami ujrzeliśmy jej nazwisko znowu na afiszach teatralnych, zapowiadających jej debiut w nowej sztuce Zalewskiego „Moloch“. Rolę tam miała debiutantka nie dużą, a jednak potrafiła wykazać w niej zupełnie już rozwinięty talent, doskonałe warunki zewnętrzne, temperament, głos bardzo silny, miękki a dźwięczny i miły. Występ ten był też dowodem, że p. Kościukówna cały okres między pierwszym debiutem na scenie Skarbkowskiej a debiutem w „Molochu“ spędziła na sumiennej pracy, że dzięki temu z początkującej debiutantki wyrobiła się na pierwszorzędną artystkę.

Szkołą, w której p. Kościukówna talent swój wykształciła, był teatr polski w Sosnowcu, pod dyrekcyą Felińskiego. Zaangażowana tam przed trzema laty, grała naprzód role mniejsze, następnie zaś objęła role kokot oraz dramatyczne, do czego usposabia ją piękna, okazała postawa i głos wspaniały. We Lwowie obejmie również ten dział repertuaru.

Ciekawą, ale najzupełniej udowodnioną jest rzeczą, że ilekroć jakiś jąkała oświadcza swemu ideałowi miłość, zawsze zapewnia ją przytem, że kocha ją „niewymownie“.

Muzyka amatorska szkoły ludowej w Leszniowie.

Towarzystwo szkoły ludowej rozwija z roku na rok coraz bardziej ożywioną a błogosławioną swą działalność w Galicyi. W zachodniej połaci naszego kraju, niema już dziś prawie miasteczka ani wsi, któreby nie korzystały ze wszystkich dobrodziejstw oświaty, szerzonej przez Towarzystwo. Trudniej idzie w Galicyi wschodniej, gdzie antagonizm narodowy Rusinów i Polaków jest niemałą zaporą w ugruntowaniu filij Towarzystwa.

Z uznaniem też podnieść należy, że na najdalej wysuniętej placówce polskiej w Leszniowie, miejscowości wschodniej Galicyi, tuż nad granicą rosyjską, powstała filia Tow. Szkoły Ludowej, a pod dzielnem kierownictwem pp. Kamińskich i sekretarza gminy p. F. Krzyżanowskiego, rozwija się nadzwyczaj szybko i najpiękniejsze nadzieje na przyszłość rokuje. Lud zamiast — jak do niedawna — zbierać się w propinacyi, obrał sobie za miejsce godziwej rozrywki i szlachetnej zabawy Czytelnię. Pp. Kamińscy wespół z p. Krzyżanowskim założyli niedawno amatorską muzykę włościańską złożoną z członków Czytelni. Komplet orkiestry stanowi 14 młodzieńców, a pomimo, że powołana przez nich instytucya jest jeszcze bardzo młodą. Wykazuje u poszczególnych członków rzetelne muzyczne uzdolnienie, a i zespół odpowiada w zupełności skromnym swoim zadaniom. Włościańska orkiestra grywa w kościele podczas uroczystych nabożeństw i bierze również udział w rozmaitych obchodach narodowych.

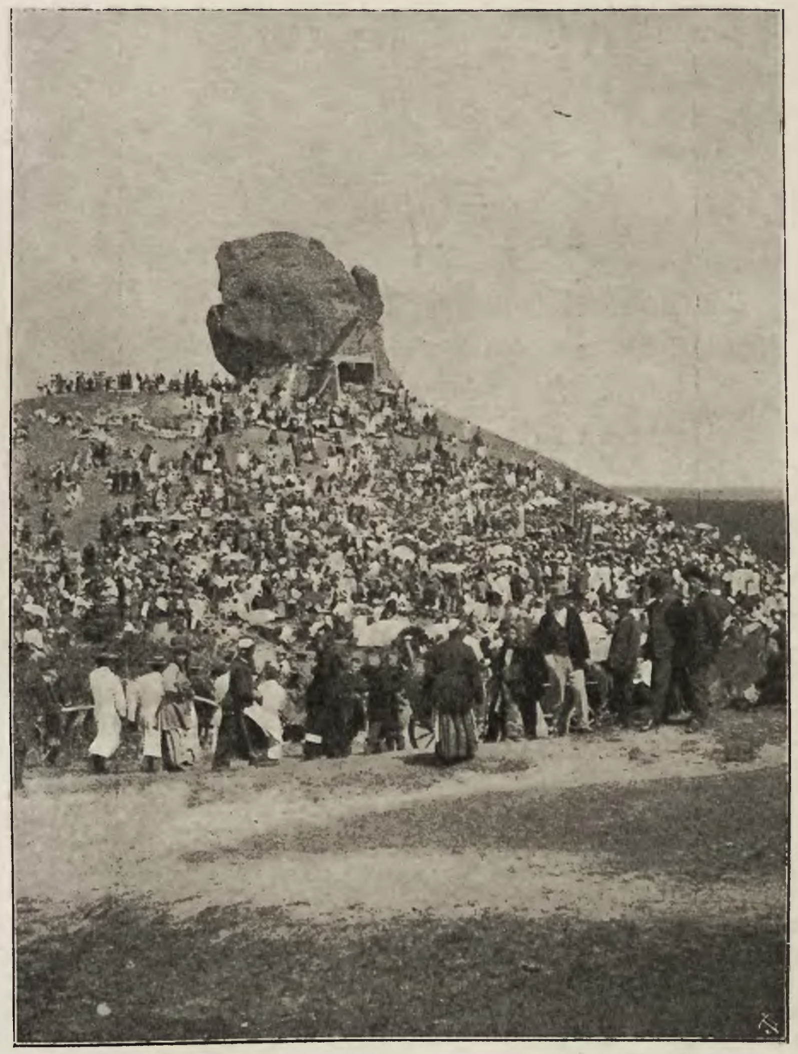
* * *

Rycina nasza przedstawia muzykę leszniowskiego Tow. Szkoły Ludowej, zajętą próbą na wolnem powietrzu.

Legendarna skała w Podkamieniu.

Fantazya ludu jest nieprzebraną skarbnicą legend, klechd i podań, w których boginki, czarownicy i wiedźmy, upiory, strzygi a nawet dyabły we własnej osobie wybitną rolę odgrywają. Są to piękne a naiwne wytwory zabobonnej wiary ludowej, a naiwności tej najlepszym jest dowodem, że wszystkie te „nieczyste siły“ — nie waha się umieszczać nawet w poświęconych czci Bożej miejscach. Podobnie rzecz się ma z klasztorem w miasteczku Podkamieniu leżącem w pobliżu Brodów. — Podkamień miejscowość słynna cudownym obrazem N. P. Maryi, posiada klasztor, przed którym znajduje się olbrzymi głaz kamienny. Otóż ten głaz jest przedmiotem następującej legendy, krążącej w uściech okolicznego ludu: Gdy dyabeł ujrzał zbudowane w swem sąsiedztwie piękne i okazałe mury klasztoru zapałał wściekłością i chęcią zemsty.

Wyrywa więc z pobliskich skalistych gór olbrzymią bryłę i pcha ją ku klasztorowi w świętokradzkim zamiarze zburzenia poświęconych murów. Już był bliskim urzeczywistnienia niecnych swych planów, w tem — kur zapiał. Pierwsze pianie koguta zwiastuje — jak wiadomo — północ, o pół-



Legendarna skała w Podkamieniu: Głaz przed klasztorem, podczas odpustu.



Tragiczna śmierć dobrego syna: Śp. Bronisław Wydrychiewicz rzuca się pod koła pociągu.

nocy ginie zaś moc „nieczystego". Dyabeł czmychnął więc jak niepyszny, przytoczywszy tuż pod sam klasztor ów złam granitowy.

Powtarzamy tu tę charakterystyczną legendę ruskiego ludu, dodając w numerze niniejszym zdjęcie fotograficzne owego sławnego kamienia przed klasztorem, okrążonego przez tłumy pątników podczas odpustu w Podkamieniu.

Tragiczna śmierć dobrego syna.

Niema chyba świętszego i wznioślejszego uczucia w sercu człowieka, jak miłość do matki. Najgorszy nawet człowiek zachowuje pamięć pierwszych jej pieszczot i tkliwości – jak to pięknie Kazimierz Brodziński powiedział — „pierwszą miłość do kobiety". Zdarzają się źli i wyrodni synowie, podobnie jak są źli i wyrodni rodzice. Biorąc jednak na ogół — są to rzadkie wypadki, a większość stwierdza od wiek wieków uświęconą prawdę, że najserdeczniejsze, najściślejsze węzły — te węzły rodzinne, to związki krwi!

Dosadną, acz smutną illustracyą jest wypadek, którego ofiarą padł znany i powszechnie szanowany radca sądowy dr. Bronisław Wydrychiewicz. Człowiek na stanowisku, prawie, że najlepszy prawnik w Galicyi — rzucił się pod koła pociągu w zamiarze samobójstwa i celu swojego dopiął.

Smutna to historya — historya zrozpaczonego serca synowskiego, człowieka, który w obawie straty najdroższego skarbu, jaki miał na ziemi: matki — sam, własną ręką, targnął się na życie!

Ś. p. Stanisław Wydrychiewicz znany był u nas w Krakowie, nietylko jako dzielny prawnik, lecz i zacny człowiek, dowcipny krotochwilista i niezrównany kompanion w towarzystwie. Nieszczęście chciało, że sędziwa matka radcy, idąc do piwnicy – a liczy ona 80 lat z górą – upadłszy, złamała obydwie nogi i ciężko chora — leczy się w domu. Syn zanadto wziął do serca chorobę staruszki. Sądził, że osoba tak wiekowa, nie przetrzyma operacyi, wymagającej amputacyi obu nóg.

Było to wieczorem, kiedy pociąg pospieszny,



Nowy dyrektor kolei we Lwowie: Radca dworu Stan. Rybicki, następca dyrektora Wierzbickiego.

zdążający od Starego do Nowego Sącza, przejeżdżał w pobliżu mieszkania denata. Prowadzącemu pociąg maszyniście, zamajaczyła na torze sylwetka. „Jakiś człowiek chce się pod pociąg rzucić!" — ta myśl mu zabłysła, myśl, która niestety! w wykonanie poszła! — Było za późno! — Biedny człowiek z roztrzaskaną czaszką, pokrwawiony, poszarpany w kawały, leżał przed maszyną prowadzącą pociąg. — Zatrzymano pociąg — zbiegła się służba i — skonstatowano, że pod kołami, zmieniony nie do poznania — leżał trup ś. p. Wydrychiewicza.

Biedny człowiek tak sobie do serca wziął chorobę matki, że w przystępie melancholii — szukał w objęciach śmierci ucieczki i pociechy!..

Rysunek nasz przedstawia tragiczną chwilę, kiedy ś. p. Wydrychiewicz rzuca się pod koła pociągu.

Nowa świątynia w Tarnowie.

Gród Tarnowskich, w ostatnich czasach stale coraz bardziej się rozwijający, niema tej cechy, wspólnej wszystkim większym miastom polskim, niema większej liczby kościołów, tak dalece, że teraz dawał się ludności tarnowskiej odczuwać brak świątyń, brak domów bożych, w którychby mogli oderwać się od ziemi i myślą ulecieć ku niebu. Brakowi temu zaradzili księża Misyonarze, których staraniem wzniesie się wkrótce w Tarnowie nowa świątynia.

W połowie maja odbyło się uroczyste poświęcenie placu pod budowę nowego kościoła „na Strusinie" w Tarnowie. Aktu poświęcenia dokonał biskup tarnowski, ks. dr. Wałęga. Księża Misyonarze okazali nadzwyczajną energię, przedsiębiorąc budowę nowej świątyni; nie mieli oni żadnego kapitału, ale mieli tę silną wiarę że dobra wola musi zdziałać wszystko. Zaapelowali do społeczeństwa, do ludności, wśród której żyje jeszcze wiara i pobożność, zakrzątnęli się gorliwie około dzieła bożego i doprowadzili do tego, że mogli rozpocząć budowę nowej świątyni. Jako znakomici kaznodzieje, będą w niej mieli miejsce do siania światła i rozpraszania mroków boskiemi słowy Zbawiciela, będą mogli z ambony głosić w porywających słowach ewangelię, koić bóle i zwątpienia.

W niedzielę 10 września, odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy kościół. Tłumy pobożnych zebrały się na miejscu, przeznaczonem pod budowę; aktu poświęcenia dokonał ks. biskup Wałęga.



Fot. T. Mroczkowski Tarnów.

Nowa świątynia w Tarnowie: Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę nowego kościoła XX. Misyonarzy na przedmieściu „Strusina".



Fot. M. Münz. Lwów.
Pomnik Bartosza Głowackiego we Lwowie: Twórca pomnika, artysta rzeźbiarz p. G. Kuźniewicz, w swej pracowni.

Przed dwoma miesiącami rozpoczęto już przygotowania do wzniesienia pomnika. Jest nadzieja, że z końcem października pomnik będzie już gotowy.

W tym czasie też ma się odbyć uroczystość odsłonięcia posągu ukochanego bohatera. Stanie on we Lwowie, na skraju parku Łyczakowskiego, który proponowano dawniej nazwać imieniem Kościuszki, dziś zaś, ze względu na jego przyszłą ozdobę, istnieje zamiar nazwania go parkiem Bartosza Głowackiego.

Park ten już dzisiaj jest prześliczny, a za lat kilkanaście może stać się nawet piękniejszym od obecnej chluby Lwowa — parku Kilińskiego na Stryjskiem, w którym stoi szewc-bohater warszawski, wykuty ręką ś. p. rzeźbiarza Markowskiego.

Szkoda jednak wielka, że na pomnik Bartosza wybrano bardzo nieodpowiednie miejsce w tym parku, mianowicie tuż przy ulicy, zamiast w bardziej malowniczem ustroniu, w jakie ogród obfituje, zwłaszcza gdzieś nad wspaniałym boiskiem Sokołów, skąd byłby Głowacki, na cokole pomnika stojący, spoglądał z radością na ćwiczenia dzielnych druhów — patryotów w czasie wielkich zlotów Sokolstwa.

* * *

W uzupełnieniu artykułu, podajemy obok fotografię projektu pomnika, oraz fotografie przedstawiające artystę p. Kuźniewicza podczas pracy nad wykończeniem pomnika i pracownię p. Kuźniewicza.

Budowę nowego kościoła prowadzi p. August Tarkowski, budowniczy z Tarnowa, według planów architekty Zubrzyckiego. Roboty postępują z dniem każdym i jest nadzieja, że za rok w nowej świątyni rozlegać się już będą tony organów i pienia pobożnych.

Illustracya nasza, zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia uroczysty akt poświęcenia kamienia węgielnego pod budującą się świątynię.

Pomnik Bartosza Głowackiego we Lwowie.

W historyi naszej mamy cały szereg postaci tak czystych, szlachetnych i jaśniejących wielkością duszy, że po dziś dzień stoją nam one przed oczyma jako przedziwny przykład, jak mamy żyć, aby życie nasze było nietylko pospolitem „zjadaniem chleba“, ale, aby przyniosło pożytek narodowi i ojczyźnie. Postacie te istnieją jak promienne gwiazdy na zachmurzonem niebie naszych dziejów; pamięć o nich jest dla nas bodźcem do pracy owocnej dla nas i dla ojczyzny naszej nieszczęśliwej; blask ich wielkości jest dla nas źródłem ukojenia i pociechy w chwilach zwątpienia i rozpaczy. Skarga — ten prorok narodowy, Ojciec Marek — cudotwórca, kapłan i wódz, Kazimierz Puławski — młodzieniec bohater, Tadeusz Kościuszko najszlachetniejszy bojownik za wolność — to wszystko ludzie, którymi szczycić się może każdy naród, to herosy, którzy na Olimpie dziejów poczesne dzierżą miejsca. Do ich rzędu należy i Bartosz Głowacki, ów chłop-bohater, który męstwem swojem i odwagą zadecydował racławicką wiktoryę.

W czasach dzisiejszych, w czasach demokratyzacyi społeczeństwa, cześć dla bohatera z pod Racławic musiała urość, a postać jego nowym zajaśniała blaskiem. Przed rokiem uczczono Głowackiego pomnikiem w Tarnobrzegu; był to pierwszy pomnik bohaterskiego kosyniera w Galicyi, a stanął z funduszów samych włościan i staraniem włościan tarnobrzeskich. Tego roku zaś stanie pomnik Głowackiego we Lwowie.

Projekt na pomnik, jaki ma wznieść Lwów bohaterowi z pod Racławic, wykonał artysta rzeźbiarz śp. Markowski. Śmierć przeszkodziła mu w wykonaniu pomnika, uznanego przez komitet budowy za bardzo dobry i piękny. Po jego śmierci oddano pracę nad pomnikiem p. G. Kuźniewiczowi który z zadania swego wywiązał się znakomicie. Pomnik, będący już na ukończeniu, jest prawdziwym arcydziełem rzeźby. Przedstawia on Głowackiego, opartego jedną nogą na armacie, z kosą w ręku. Druga ręka wzniesiona, jakby do komendy. Twarz o rysach nadzwyczaj szlachetnych, oczy duże, a w nich zdaje się gorzeć płomień, jaki duszę szlachetnego kosyniera rozpalał. Całość robi wrażenie nadzwyczaj dobre.



Fot. M. Münz. Lwów.
Pomnik Bartosza Głowackiego we Lwowie: Artysta rzeźbiarz p. G. Kuźniewicz przy pracy nad wykończeniem pomnika

KRONIKA LWOWSKA.

(Zamach na gorsety. — Konsternacya wśród panienek. — Równy strój, równy krój. — Co go czeka? — Odstraszający przykład. — Jeszcze mięso. — Uchwalone jatki. — Jakich doczekamy się czasów. — Do czego zmierzają rzeźnicy. — Strejk czeladników rzeźnikich. — Pan Mokrzycki deklamuje — Żołnierze rzeźnikami. — Cywilne krowy. — Do czego teraz dąży dr. Legeżyński i jego czarne zamiary. — Jeszcze o cholerze. — Epidemia zdrowia. — Glisty w wodociągach. — Szwindel w hotelu George'a. — Co potem znajdziemy? — Najnowszy wygląd ratusza lwowskiego. — W białych oknach biały król. . — Nowacki reżyserem. — Szósty komunikat o pierwszym koncercie. — Bilety przez telefon. — Z kim byłem połączony).

Znany okólnik Rady szkolnej, wystosowany do szkół żeńskich, stał się powodem niezwykłego zamieszania wśród pięknych uczenic. Zamach na gorsety, wprowadzenie równego stroju, zniesienie ciasnych bucików — to straszny głos władzy, przyjęty z niekłamanem oburzeniem i zdziwieniem wśród uczenic. Co do gorsetów, to wolno je będzie nosić wyjątkowo, jedynie na skutek świadectwa lekarskiego. Na szczęście ten przepis nie będzie tak zabójczym bo wszystkie uczenice zaopatrzyły się już w świadectwa lekarskie. O wiele gorszem jest zamierzone wprowadzenie równego stroju. Równy strój, równy kolor dla wszystkich — powiadają nauczycielki. a panny na to: Czyście powaryowały?!.. A gdzież to możliwe, do czego to prowadzi?! Gdzież znajdziecie jeden kolor, w którym byłoby i brunetce i blondynce do twarzy? A co do kroju, to samo... Panienka przysadkowata i tęga nie może się zgodzić na ten sam krój, co chuda i wysoka! Ot barbarzyństwo. Nic więc dziwnego, że panienki rozpoczęły akcyę, zmierzającą do wykrycia tego, który pierwszy rzucił nieszczęśliwą myśl wprowadzenia równego stroju, są już nawet na tropie sprawcy, którego czeka straszna śmierć przez zakłócie parasolkami i rozszarpanie go na włóczkę. Z tych nitek wyhaftują panienki odstraszający napis odpowiedni i wywieszą go w miejskiem muzeum przemysłowem na wieczną rzeczy pamiątkę i jako odstraszający przykład na udowodnienie tej wiecznej prawdy, iż nikt nie powinien kobiecie wmawiać w czem jej dobrze, bo sama o tem wie najlepiej.

Na razie nikt prócz podpisanego nic jeszcze nie wie o zamierzonej egzekucyi dorażnej i dlatego nie zwraca się uwagi na te przygotowania. Tak bardzo zresztą interesujemy się obecnie sprawą mięsa i strejkiem rzeźników, że o niczem innem, nawet o cholerze, nie mówi się w tej chwili we Lwowie.

Całkiem niespodziewanie i wbrew woli prezydyum, uchwaliła rada miejska przystąpić do założenia jatek miejskich. Nie należy o to winić ani prezydenta Michalskiego, ani dr. Rutowskiego, co wyraźnie podkreślam. Stało się to prawie przypadkiem, odruchowo. Co się w tej chwili dzieje we Lwowie, to nie da się wiernie opisać, a sążniste sprawozdania dzienników są tylko rozwlekłe, ale bynajmniej nie wyczerpujące. Rzeźnicy lwowscy chcą doprowadzić do takiego braku mięsa, ażeby ludzie jedni drugich na ulicy żywcem pożerali. Maluczko, a doczekamy się czasów, w których ojciec pożerać będzie swoje dzieci, mężowie swoje żony, zięć teściowę, dłużnik wierzyciela, robotnik kapitalistę i t. d. Na razie bywa jeszcze zawsze odwrotnie... Za kilka tygodni nie znajdziesz we Lwowie „flaka“ za dukata, jeżeli rzeźnicy nie zaprzestaną akcyi w interesie.. konsumującej publiczności.

Do takich niesłychanych faktów należy strejk czeladników rzeźnickich w interesie... rzeźników majstrów prowadzony. Rzeźnicy czeladnicy zbyt rychło spostrzegli się na szczęście, a majstrowie rzeźnicy podmawiać teraz będą woły, krowy, barany i cielęta, aby się nie dawały zarzynać, byle tylko doprowadzić mieszkańców Lwowa do wymarcia z głodu.

Zainteresowanie i zaniepokojenie jest wprost ogromne, a specyalnie tej sprawie poświęcone posiedzenie rady, dało sposobność wielu rajcom do popisania się elokwencyą i znajomością spraw rzeźnickich. Fachowcem jest tylko jeden rajca, p. Mokrzycki, którego oracya, wygłoszona na tem posiedzeniu, zdobyła mu rangę znakomitości. Ale bo też deklamował p. Mokrzycki, jak anioł, a mowa jego, słodka jak miód, byłaby zrobiła wrażenie nawet między wołami. Koledzy rajcy zaśmiewali się na śmierć, a p. Mokrzycki, jakby rozkochany sam w sobie, rąbał dalej z tą samą łatwością i satysfakcyą, z którą rąbie w swojej jatce porżnięte bydlęta. To też oklaskom, gratulacyom i śmiechowi nie było końca.



Jadwiga Kościukówna. (Treść na str. 14).

Mimo to, kwestya sama, do chwili, w której ku wiecznej pamięci te słowa kreślę, dotąd nie jest rozwiązaną. I owszem, zapowiada się sytuacya coraz groźniejsza. Chyba... chyba, że znowu pomysłowy prezydent, pan Michalski, zażegna burzę figlami. Był nawet czas w ubiegłym tygodniu, w którym żołnierze, w zastępstwie czeladników, bili bydło. nb. dla użytku wojska. Natomiast cywilnych wołów i krów nie bije się już od tygodnia. Jednem słowem: źle.

Dlatego przestaliśmy już całkowicie mówić o cholerze. Co prawda nikt dotąd na tę chorobę nie umarł ani zachorował, a kilka wypadków przejedzenia miało przebieg i wyjście zupełnie zadawalniające. Fizyk miejski, dr. Legeżyński, kilkakrotnie zhepa y przez „Słowo Polskie“ przesłał przestrzeganie i nawoływać, jakby chciał cholerą wydusić $^3/_4$ mieszkańców, a w pierwszym rzędzie członków wydawnictwa „Słowa Polskiego“, nie wyłączając mętrampaża i niewyczerpanego pana Kłośnika. Członkowie komisyi anticholerycznej podzielili między siebie całe miasto i jest nadzieja, że jeszcze w tym roku przeprowadzą ścisłą rewizyę. Co prawda odzywają się już teraz głosy, że ta cała rewizya jest niepotrzebna, bo cholery jeszcze niema. I owszem lekarze skarżą się na epidemię powszechnego zdrowia. Wobec tego, byłoby może lepiej zostawić wszystko jak jest. Zdaje się, że to zdanie, jako całkiem słuszne, zwycięży, a lwowskie porządki pozostaną nienaruszone.

W hotelu George'a odkryto szwindel wodociągowy. Sprytny zarząd hotelu sprowadzał od dłuższego czasu wodę ze studni na podwórzu, do rury wodociągowej, ażeby zredukować opłatę za wodę. Szwindel odkrył się z winy sprawców, którzy ogłosili w dziennikach, że znaleziono w wodzie z wodociągu pierścienicę. Zarząd wodociągów, szukając gniazda pierścienic odkrył źródło szwindlu i zarządowi hotelu wytoczono śledztwo. Tymczasem pokazało się, że i w innych domach znaleziono pierścienice, pomimo, że tam już nie urządzono „kolana“. Powodem jest to, że rur wodociągowych nie czyszczono dotąd ani razu. Przyczynek do dziejów czystości Lwowa... Czekać tylko troclę, a znajdziemy w naszych wodociągach żaby, jaszczurki, raki, pijawki...

Osobliwy widok przedstawia w tej chwili ratusz lwowski. Cały brudno-szary, odrapany, jakby w błocie wykąpany, a tylko szereg okien po prawej stronie i z boku pomalowano na biało. Okna te na tle brudno szarem odbijają jaskrawo... To świeżo odrestaurowane mieszkanie prezydenta. Trudno o komiczniejszy widok. Jeżeli ratusz nasz zasługuje oddawna na opis szczegółowy, to teraźniejszy jego wygląd aż się prosi, by go jaki tęgi humorysta uwiecznił rymami. Nawet taki Chrzanów, lub Pipidówka, Dyrdymałki, lub Pacanów, nie powstydziłyby się, gdyby chciały swoje ratusze porównać z ratuszem stolicy. Ale za to teraz każdy z daleka pozna, gdzie mieszka pan prezydent, Michał Michalski z rodziną. W białych oknach... Symbol niewinności... A p. Michalski tak lubi być niewinnym..

W tej chwili dowiaduje się, że strejk rzeźnicki zakończono. Możemy zatem być spokojni. Nie będziemy bez mięsa... Tem bardziej, że wprowadza się już w handel końskie mięso.

Z teatru tylko tyle nowego, że urząd reżysera po Solskim, powierzono Nowackiemu. Młody, utalentowany, a nadzwyczaj lubiony artysta. Jakim będzie reżyserem. Niewątpliwie dobrym. Zadanie bardzo trudne, ale Nowacki do tego dorósł. Rósł przed oczami teatralnej publiczności bardzo szybko. Dopiero niedawno aktor prowincyonalny, dostaje się do Lwowa za Hellera prawie niespostrzeżenie, bez reklamy. Pracuje nad sobą rzetelnie, zyskuje sympatyę coraz większą, staje się ulubieńcem. Jako aktor i jako człowiek potrafił zyskać cały legion zwolenników.

W teatrze przygotowuje się gorączkowo sezon operowy. Operetka daje w niedzielę ostatnie przedstawienie, poczem „królowa operetki“, ulubiona Klisia wyjeżdża za granicę dla poratowania zdrowia. Prawie wszyscy śpiewacy wrócili z Krakowa zrujnowani. Tamtejsze powietrze w parku pozostanie im na długo w pamięci.

Tzw Filharmonia lwowska drukuje w dziennikach szósty czy siódmy komunikat o mającym się odbyć pierwszym koncercie w tym sezonie. Publiczność poprostu ginie z niecierpliwości i nie może się doczekać koncertu. Niektórzy już nawet zwątpili, czy wogóle zobaczą koncertanta, bo bardzo często zdarza się w naszej Filharmonii, że koncertant jadąc do Lwowa, zasypia w wagonie i zapomina wysiąść. Jedzie dalej. Już wielu tak zrobiło... I nie żałują...

A teraz co innego. Miałem zakupić bilety w kasie teatralnej, a że zegar wskazywał już kwandrans na ósmą, więc wolałem porozumieć się z kasą telefonicznie, z kawiarni, w której siedziałem. Chciałem spytać czy są jeszcze bilety. Trrr...

— Hallo!

— Proszę o połączenie z kasą teatru.

— Dobrze.

— Trrr...

— Hallo? Czy to kasa teatru?

— Nie, to towarzystwo akcyjne browarów...

— Proszę oddzwonić, ja chciałem mówić z kasą teatru.

— Może pan to z nami załatwi?

— Ależ to niemożliwe, proszę oddzwonić...

— Trrr... Trrr.. Trrr... Tez końca.

— Halo! Halo! Haloo! Trrr..

Po kwadransie czekania słychać basowy głos.

— Halo?

— Czy to kasa teatru?

— Nie tu towarzystwo akcyjne browarów.

— Proszę oddzwonić.

— Trrr... Trrr. Trrr... (6 razy).

— Trrr...

— Halo?

— Prosiłem o połączenie z kasą teatru.

— Ależ dobrze, dobrze — już.

Dzwonię i trzymam słuchawki Jakieś piekielne głosy, strzelanie korków, muzyka wojskowa... Nagle cisza... Głuche „trrr“... rozdziera uszy... Znów muzyka... Bal... Rozmowa jakiejś pary, kłótnie, beształnie męża, łamanie krzeseł, wreszcie:

— Halo!

— Czy to kasa teatru?

— Zwaryował pan, czy co, tu pralnia...

— Proszę oddzwonić.

Tak „oddzwanialiśmy“ kilkanaście razy.

W przeciągu pół godziny byłem połączony z kawiarnią amerykańską, hotelem Grand, hotelem Imperial, komendą korpuśną, strażą pożarną, koszarami Ferdynanda, Towarzystwem ratunkowem, szpitalikiem św. Zofii, Zakładem kulparkowskim i dyrekcyą policyi.

Nareszcie połączono mię z kasą teatralną, panna Julcia uśmiechnęła się szczerze (przez telefon) i zauważyła:

— Może pan już weźmie na jutro, bo dziś wkrótce przedstawienie się kończy. *Kl.*



Skarb

tragedya w 3 aktach Leopolda Staffa. (Premiera z dnia 16 września br.)

Autor „Skarbu“, ma szczęście potrójne, któremu zawdzięcza wystawienie swojej sztuki w Krakowie. Pierwszem szczęściem jest okładka książki do której winietę narysował Stanisław Wyspiański, drugiem szczęściem jest, że rysunek ten przedstawia p. Ludwika Solskiego w roli Strażnika z tejże sztuki, trzeciem wreszcie szczęściem jest, że w sztuce tej jest rola „Dziwnej“, którą oczywiście grała p. Solska.

W tej powodzi szczęścia mniejszem już szczęściem jest uznanie sprawozdawcy „Czasu“, który „Skarb“ nazwał dziełem „wysokiej i głębokiej, literackiej i artystycznej wartości“, choć ten sam recenzent wykpiwał autora po kuloarach teatru podczas premiery. Ze jednak zwykle za szczęściem wlecze się niepowodzenie, więc i p. Staff dożył tego samego, a mianowicie, że publiczność przyjęła „Skarb“ zimno i obojętnie, że nudziła się kapitalnie, że u emnego wrażenia nie zatarło kilka błysków poezyi, skąpo i drobno w długich tyradach rozsypanych a sztuki nie uratowało nawet bardzo dobre intermezzo na wieży kościelnej i wyborna gra p. Popławskiego w roli Kurka na kościele.

Przekona się o tem autor i przedsiębiorstwo teatralne z dalszej frekwencyi publiczności na to dzieło sceniczne.

Ideę przewodnią „Skarbu“ określił sam autor: Czas i miejsce wypadków obojętne; może „nigdzie i nigdy“, może „w nas i codzień“. Informacyę tę możnaby dalej jeszcze w ten sposób uzupełniać: „Może wczoraj, może jutro, może nad nami, może pod nami, z panią Solską, bez pani Solskiej, z tłumem, bez tłumu i t. d.“.

Pomysł do „Skarbu“ jest stary jak świat. Tłucze się też po wszystkich tomach i tomikach różnych „poetycznych tworów“ w różnych formach. Gdyby ta sztuka była inaczej tj. zrozumialej napisana albo może przez kogo innego, temat mógłby wzbudzić artystyczne zainteresowanie. Tak jak jest, dzieło p. Staffa mimo określeń dokonanych przez samego autora nie jest niczem innem, jak dźwiękiem słów i słów, czasem nawet melodyjnym i pięknym, zwykle jednak pustym. Głębokość utworu polega chyba na jego chaotyczności.

Lud, tłum, ludzkość cała czy jeden naród, w cierpieniach i walkach, pragnie posiąść skarb strzeżony przez strażnika niezłomnego i Dziwną, niemą dziewicę... Wódz ludu jednak zamiast bronić zamku przed „nieznanymi“ wrogami, godzi się z nimi. bo go oczarowała Obca, córa wrogów. jak się zdaje symbol ziemskiej zmysłowej miłości. Tylko strażnik niezłomny i Dziwna bronią idei wiary w skarb, o którym nikt nic nie wie, nigdy wiedzieć nie może, który jest białą niezapisaną księgą i który dlatego jest skarbem, że wszyscy myślą, że ten skarb jest, choć go niema...

Proszę sobie wyobrazić to wszystko długo i szeroko opowiedziane w powodzi wymownych słów w czasie od 7-mej wieczór do wpół do 11 w nocy!!

Tylko epizod z kurkiem na kościele, który mówi w gładkiej i pięknej formie rzeczy zresztą znane i nieraz piękniej jeszcze wypowiedziane, zajął nieco znużoną i zniechęconą publiczność.

Wystawa była bardzo staranna, a za wielką zasługę należy poczytać p. Solskiemu, który tę sztukę reżyserował, że umiał w scenach tłumów doskonale przeprowadzić reżyseryę dyrektora Pawlikowskiego, zastosowaną przy wystawieniu „Skarbu“ we Lwowie.

Ujemną stroną premiery była nietrafna obsada głównych ról tj. Strażnika niezłomnego, którego grał p. Solski i Dziwnej, którą grała p. Solska. Pierwszą rolę należało oddać p. Andruszewskiemu lub Jednowskiemu, zaś drugą bezwarunkowo p. Wysockiej, która przecie jako artystka dramatyczna przewyższa przereklamowaną panią Solską. Czy p. Solski naprawdę nie widzi i nie czuje, że pani Solska do ról silnie dramatycznych warunków ma mało, brak jej bowiem głosu. Głos jej ciągle się łamie, brzmi dwojako, a zamiast siły wydobywa się z krtani tylko przykre skrzeczenie. Prócz tego, to co pani Solska mówi, takie sztuczne, wyuczone, wymęczone, przeciągane, a grane na zimno, tylko na efekt! A pozy? Pewnie, że śliczne, ale same pozy nie wystarczą — do dramatu. Pani Solska może doskonale się wyuczyć ról innych i wybornie je wykonać, w Krakowie jednak, gdzie jest pani Wysocka, a zostało niezatarte wspomnienie po takim talencie jak Mrozowska, ról dramatycznych grać nie powinna.

P. Solski powinien był grać kurka na dachu. To była rola dla niego. Grał ją jednak także wybornie p. Popławski. Odebranie tej roli po pierwszem przedstawieniu zasłużonemu artyście p. Popławskiemu a oddanie jej p. Leszczyńskiemu jest jednym więcej dowodem, jak przedsiębiorca teatralny traktuje ludzi, których pracę kupił i źle płaci. Rolę cofa się na próbie, ale nie po premierze. Aby zaś oćmić publiczność wysłano do dzienników komunikat, że p. Popławski zachorował, co jest fałszem. Zaiste, wyższa bezczelność!

Monotonię wieczoru rozjaśniła p. Ordon-Sosnowska w roli Obcej. Wyglądała prześlicznie, a w powódź sztuczności wniosła powiew szczerości, prawdy, żywego wrodzonego talentu nie zastąpionego nigdy „robotą“.

Publiczność przyjmowała p. Ordon-Sosnowską owacyjnie.

Silne wrażenie wywołała również gra p. Arkawin w pierwszej scenie pierwszego aktu. *Oświk*

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

17 (Ciąg dalszy).

Wśród płaczu i łkania zaprzysięgła że do niedawna była jeszcze w jak najściślejszych stosunkach z Rudolfem, a nawet cześć swą złożyła na ołtarzu tej miłości i, że posiada pisemne zapewni nie, iż z nią jedynie się ożeni. Gdy jednak poznał Gretę, zerwał z nią wszystkie stosunki i przysławszy jej listownie pożegnanie, ofiarował w zamian za zawód pewną sumę pieniędzy.

Łzy i rozpacz tej damy były takie prawdziwe, takie przekonywujące, że Greta uwierzyła im, choć serce szeptało jej co innego. Gdy zaś dama podała jej list pisany ręką Rudolfa, Greta poznała pismo ukochanego i serce ścisnęło się jej, gdy przeczytała, w jak szorstki i ordynarny sposób ten Rudolf żegnał swą dawną kochankę, chcąc jej złotem za wstyd zapłacić.

Greta natychmiast oświadczyła, że do Rudolfa niema żadnych pretensyi, że znać i widzieć go nie chce, a gdy Franciszek, który nadszedł w tej chwili, opowiedział jej. że ojciec jego, na wieść, iż Rudolf chce żenić się z nią, dostał ataku apopleksyi i na śmiertelnem łożu zmusił syna do przysięgi, iż nie poślubi nigdy córki pisarza, rzekła, że każdej chwili gotowa jest zwrócić mu słowo. Franciszek zaproponował jej. żeby uczyniła to zaraz listownie i sam podjął się doręczyć list bratu. Greta istotnie napisała kilka słów i dołączyła do listu prostą złotą obrączkę, jedyny dar, jaki otrzymała od Rudolfa. Franciszek schował list i pierścionek, podziękował jej serdecznie za tak szlachetny czyn, a towarzysząca mu panna Aurelia Burky, poprzysięgła mu miłość dozgonną.

Helena, która w milczeniu przysłuchiwała się dotychczas opowiadaniu starca, nagie poruszyła się gwałtownie. To nazwisko zaintrygowało ją.

— Amelia Burky? czy się pan nie mylisz?!... To jest panieńskie nazwisko mej stryjenki, obecnej żony mego stryja Franciszka!...

— Tak jest! ja się nie mylę! To była stryjenka pani, panno Springer — rzekł chmurnie starzec. — Domyśla się pani chyba, co potem zaszło. Nazajutrz Rudolf przysłał list, w którym bynajmniej się nie usprawiedliwiał, lecz pisał, że oświadczenie Grety przyjmuje do wiadomości i że pierścionek otrzymał. Wspomniał też o tem, że życie w tych warunkach i dla niej i dla niego w jednem i tem samem mieście, gdzieby się mogli spotykać. byłoby zanadto przykre, więc on ustąpi, a jej przysyła tylko szczere życzenie pomyślnej przyszłości i nie chce nawet wspominać o jej postępowaniu!...

Ten list dowodził, że doktor Harras mówił słusznie, że Franciszek miał racyę, ale Greta na razie nie dowiedziała się o tem. bo.. ciężka choroba, zapalenie mózgu, powaliła ją na łoże. Tymczasem odbył się pogrzeb starego Springera i całe miasto zostało poruszone wieścią. że Rudolf, którego uważano za głównego spadkobiercę, wyjechał za ocean, aby dopiero kiedyś, po latach, powrócić.

Zdziwienie wzrosło jeszcze, gdy przy przeprowadzaniu sprawy spadkowej, nie znal ziono wcale testamentu, lecz natomiast tylko pismo Rudolfa, uwierzytelnione podpisami Franciszka i doktora Harrasa, w którym podpisany, z wyjątkiem małej sumy, zrzekł się praw do całego majątku.

I naraz zaczęły krążyć straszne plotki! Rudolfa Springera nazywano złodziejem, oszustem i cuda opowiadano o nim! Jak długo była Greta chorą, jak długo była rekonwalescentką, udawało mi się zataić przed nią te straszne historye. Ale gdy już wyzdrowiała, gdy doktorzy sami nakazali jej długie spacery, nie mogłem, nie byłem w stanie zapobiedz temu, aby potworne wieści nie dotarły do jej uszu. A ona biedne dziecko, wciąż jeszcze kochała swego Rudolfa. I dowiedziała się o wszystkiem! Ktoś powiadomił ją o tych plotkach i pewnie umiał je ubrać w jeszcze potworniejszą szatę, jeszcze brutalniej musiał to uczynić, bo po drugiej przechadzce trupa jej przyniesiono do mojego domu. Z włosów jej, z sukienki spływały strumienie wody... Zakończyła życie samobójstwem i zwłoki jej pogrzebano pod murem cmentarnym w niepoświęcanej ziemi. Wówczas to przysięgłem zemstę za zniweczone moje i jej szczęście i za winowajcę uważałem jedynie Rudolfa. Lecz niebawem wątpliwości zrodziły się w mojem sercu, a zrodziły się wówczas, gdy Franciszek Springer, jeszcze nim skończyła się żałoba po ojcu, poprowadził do ołtarza rzekomą kochankę Rudolfa, Amelię Burky!...

Ale dopiero w rok później dowiedziałem się jakiej potwornej zbrodni byliśmy ofiarami: ja, Greta i Rudolf!...

Pewnego razu, gdy już pisarze opuścili kancelaryę adwokata Harrasa i gdy pryncypał mój myślał, że i ja już poszedłem, całkiem przypadkowo byłem świadkiem rozmowy jego z Franciszkiem Springerem. Obaj myśleli, że w przedpokoju nikogo niema, bo drzwi od gabinetu doktora stały otworem, a oni sami mówili tak głośno, że słyszałem najdokładniej każde słowo. Któcili się zawzięcie o jakieś papiery. które były w posiadaniu doktora, a które Franciszek koniecznie chciał od niego wydostać. Harras oświadczył, że papierów tych mu nie wyda, a gdy Springer zarzucił mu, iż zatrzymuje te papiery. aby tylko wciąż go mieć w ręku i kiedyś zniszczyć kompletnie, mój zacny chlebodawca wzruszył obojętnie ramionami i rzekł, że Franciszek bynajmniej się nie myli! Kłótnia ta trwała dość długo, ale do niczego nie doprowadziła, bo prędzej m żnaby świat wzruszyć w posadach, niż zmienić postanowienie Harrasa. Ostatecznie stryj pani, klnąc jak parobek, opuścił kancelaryę doktora. Nie dojrzał mnie w przedpokoju, bo światło było już zgaszone, ale zaledwie wyszedł, otrzymałem nowe wskazówki co do tych tajemniczych papierów. Doktor Harras przystąpił bowiem do biurka, nacisnął jakiś guzik, czy gwoździk, który sobie dobrze zapamiętałem i z tajemniczej skrytki dobył plik papierów, przez chwilę oglądał je z wyrazem zadowolenia, a potem schował je napowrót do tej kryjówki...

W tej chwili powziąłem stanowcze postanowienie, że bądź co bądź muszę oglądnąć te papery, a że plan mój wykonam, o tem byłem święcie przekonany.

Z wprawą, jakiej nigdy nawet nie spodziewałem się po sobie, porobiłem w wosku odciski z wszystkich zamków i kazałem ślusarzowi, aby mi porobił klucze. Ślusarz znał mnie bardzo dobrze i bez żadnych trudności spełnił mą prośbę. I we dwa dni później koło dziesiątej wieczorem wybrałem się na tę wyprawę. Otworzyłem drzwi wchodowe do kancelaryi, a wszedłszy, zamknąłem je na klucz za sobą. Potem przy pomocy dorobionego klucza dostałem się do kancelaryi doktora i zapaliwszy stoczek zacząłem szukać owego gwoździka, pod którego naciskiem otwierała się tajemnicza skrytka. znalazłem go, pocisnąłem i cichy okrzyk tryumfu wydarł się z mej piersi. Papiery, owe tajemnicze papiery leżały przedemną! Mogłem je brać i oglądać!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



LUDWIK STASIAK.

PRZYSIĘGA.

HUMORESKA.

W obliczu jasnego Sziwy zaprzysięgliśmy dozgonną wierność Habakukowi XIII. Wojsko, broń prezentując, wygłosiło słowa straszliwej przysięgi. Wielki kapłan Herichu, w stroju pontyfikalnym, otoczony duchowieństwem, odbierał od narodu przysięgę wierności. Potem podniósł oczy łez pełne w górę i rzekł:

— Przysiągłem na ciebie, Sziwo, na wieczność duszy mojej, na cześć matki mojej.

A duchowieństwo wszystkich obrządków odpowiedziało:

— Słyszałeś przysięgę naszą, o jasny Sziwo!!!

Przez kilka tygodni był w państwie spokój i cisza. Ludzie zajęci byli rozmyślaniem, skąd wziąć pieniądze na płacenie podatków. Z kasy podatkowej utrzymywano wojsko i płacono listę cywilną krolowi Habakukowi XIII. Wynosiła ona nędzne dwadzieścia milionów rocznie i dwóch ludzi do kuchni dziennie. Ci ludzie szli do kuchni nie po to, aby gotowali, ale, aby ich gotowano. Zastawa królewskiego stołu była zawsze bardzo obfitą. Bo Habakuk XIII nigdy sam nie siadał do uczty. Zawsze był jeden lub kilku ministrów, jeden lub kilku książąt krwi, członkowie parlamentu i izby panów. W każde święto uroczyste był zaproszonym najwyższy kapłan Herihu. Po obiedzie odbywał monarcha cercle. Rozmawiał z posłami o rolnictwie i przemyśle. Wypytywał się o nowe budowle i inwestycye.

— Pan jest posłem ze stanu rudowyjczego?

— Tak jest, najjaśniejszy panie — odpowiedziałem.

— Jak się miewa mój wierny namiestnik?

— On?! On jest najszczęśliwszym z ludzi.

— Czy wygrał na loteryi?

— Nie! Ale został dziś przez waszą królewską mość zjedzonym.

— Jakto?

— Spożyliśmy go przed chwilą.

— A więc to on był?

— Z radością szedł na rożen.

— Jak dawniej, tak dziś, podczas obiadu, miałem sposobność ocenić jego wielkie przymioty.

— Tak jest, najjaśniejszy panie. Znakomity to człowiek. Był przepyszny ze sosem koprowym w szampionach. Smakował wszystkim.

Zastanowił się król chwilę i rzekł z naciskiem:

— Cieszę się, że urzędnik mój znalazł dziś uznanie w kołach parlamentarnych. Celem mych rządów jest harmonia władz z parlamentem.

— Istnieje ona w całej pełni.

— Wy zwłaszcza, posłowie sejmowi i parlamentarni, powinniście być z waszego stanowiska społecznego zadowoleni. Co mówię?! Powinniście być dumni. Jesteście kwiatem narodu i stanem uprzywilejowanym.

— Dlaczego, najjaśniejszy panie?

— Nie wiesz pan? Wszak według § 16 zaprzysiężonej przezemnie konstytucyi, każdy poseł jest nietykalnym i niejadalnym.

Już miałem dziękować za opiekę i poszanowanie poselskiego stanu, gdy wpadł woźny z telegrafu i oddał Habakukowi XIII depeszę. Spojrzał monarcha na blankiet telegraficzny, oczy otwarł szeroko, upadł na tron i zawołał:

— Wojna!!!

Nie czekaliśmy długo na sprawdzenie się wieści. Za dwa dni w pośpiesznych marszach przyszedł pod mury stolicy sąsiedni król Amenhotep III i zasypał miasto gradem kul armatnich. Wojska nasze bohatersko broniły miasta, po dwóch tygodniach jednak musiały się poddać. Poddał się i kraj. Ojczyzna nasza została przyłączona do państwa Amenhotepa III, który zaczął wydawać uczty dla książąt krwi, duchowieństwa, arystokracyi i deputowanych. Na pierwszy obiad parlamentarny poszedł złapany do niewoli król Habakuk XIII. Został on zjedzonym. Jadłem go. Był podany na maderze z szampionami. Pyszne fillet. Po uczcie wydanej dla duchowieństwa, posłów i arystokracyi, wezwał nas Amenhotep III do przysięgi wiernopoddańczej. Poszliśmy natychmiast. W obliczu jasnego Sziwy zaprzysięgliśmy dozgonną wierność Amenhotepewi III. Wojsko, broń prezentując, wygłosiło słowa straszliwej przysięgi. Wielki kapłan Herichu przysiągł pierwszy. Ubrany w uroczysty strój pontyfikalny, otoczony duchowieństwem, odebrał od narodu przysięgę wiecznej wierności. Poczem podniósł oczy, łez pełne, w górę i rzekł:

— Przysiągłem na cienie Sziwoba, wieczność duszy mojej, na cześć matki mojej.

A duchowieństwo wszystkich obrządków odpowiedziało chórem:

— Słyszałeś przysięgę naszą, o jasny Sziwo!!!

Przysięga poszła gładko. Co prawda, to u nielicznych warchołów była chwila wahania się. Jedna, jedna chwila — jedno mgnienie oka. Patrzyliśmy pilnie na wojsko. Kilku chorążych nie chciało przysięgać. Poszli natychmiast do kryminału. Przysięga na wierność monarsze jest aktem świętym, zupełnie dobrowolnym; jeśli jednak kto nie chce przysiądz, ten idzie do kryminału. Naprzykład rekrut. On przecie przysięga dobrowolnie. Gdyby jednak nie przysiągł... Niema głupich. Alboż ja chcę siedzieć w kryminale? Po co? Na uczcie koronacyjnej jedliśmy chorążych. Podpasiono ich na ten cel. Widząc garnirowanych chorążych, filozofowałem. Gdybym był nie przysiągł, to byłbym jedzony — a tak, jem. Ja wolę jeść, niż być jedzonym. Ja, mając do wyboru: iść do kryminału lub przysiadz monarsze — wybieram zawsze to ostatnie. Filozofowałem na temat pomazańców pańskich, gdy wpadł do sali zamkowej woźny telegraficzny i oddał królowi Amenhotepowi III depeszę. Król przeczytał i upadł zemdlony na tron.

— W granice państwa wpadł straszliwy zdobywca, król Ramzes V!!!

* * *

Wieść sprawdziła się. W kilka tygodni podbił Ramzes wszystkie sąsiednie królestwa. Amenhotep III walczył jak lew, ale po nadludzkim oporze, musiał się poddać. Poszedł do niewoli i został zjedzonym. Jadłem go. Podano go w cebulowym sosie z kaparkami. Oprócz niego jedliśmy kilku obywateli, którzy oświadczyli, że przysięga w obliczu Boga jest rzeczą świętą. Byli to dwaj adwokaci, jeden kapitan i jeden poeta. Poeta był chudy, jakby nigdy nic nie jadł. Ale tamci dwaj! Co kucharz z nich zrobił?! Na wieczną rzeczy pamiątkę zapisuję „menu“ koronacyjnego obiadu:

Potage Canibal à la Periguex
Culotte à la goderchalte
Selle d'advocat
Jambon nepotisme conservative
Galantine alcoholique de poete decadente
Sorbet
Poularde constitutionelle
Salade
Compote
Aspe ges en branches
Gateau à loyale batyarember
Places aux cannibals autocratiques
Fromage
Dessert

Potem nastąpiła przysięga dozgonnej wierności królowi Ramzesowi V. Naród leciał jak szalony, aby przysięgać. Wojsko, broń prezentując, wygłosiło słowa straszliwej przysięgi. Wielki kapłan Herihu w purpurowym stroju pontyfikalnym, mdlał z entuzyazmu. Otoczony duchowieństwem, odebrał od narodu przysięgę wierności. Potem podniósł oczy, łez pełne, w górę i rzekł:

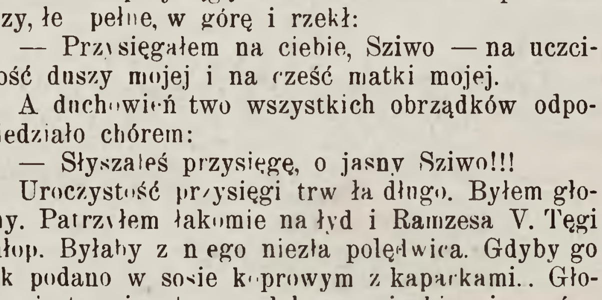
— Przysięgałem na ciebie, Sziwo — na uczciwość duszy mojej i na cześć matki mojej.

A duchowieństwo wszystkich obrządków odpowiedziało chórem:

— Słyszałeś przysięgę, o jasny Sziwo!!!
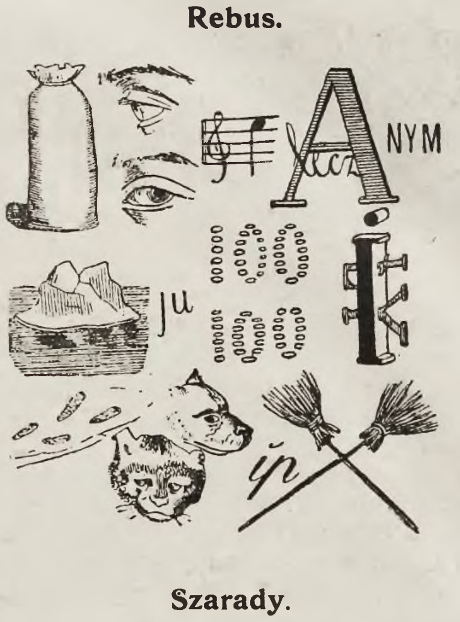
Uroczystość przysięgi trwała długo. Byłem głodny. Patrzyłem łakomie na łyd i Ramzesa V. Tęgi chłop. Byłaby z niego niezła polędwica. Gdyby go tak podano w sosie koprowym z kaparkami.. Głodny jestem i patrzę w dal, czy nie biegnie woźny z telegrafu. Bo gdy przybiegnie...

Będziemy jeść i przysięgać.



Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

Ułożyła H. M. z Turbii.

I.

Pierwsze znajdziesz na rzekach, jeziorach i stawie,
Trzecie czwarte smakujesz w wybornej potrawie,
Czwarta przysłówek, zaimek wspak *druga*,
A *wszystko* razem, suknia nie zbyt długa.

II.

Pierwsza trzecia ptak złośliwy,
Chętnie czyha nań myśliwy;
Drugiej dużo jest na świecie,
Bez niej ciężkie nieraz życie.
Całość, spytacie, całość nareszcie!
Znajdziesz ich pełno w każdem mieście.

Arytmogryf.

W niżej oznaczonych kombinacyach zamienić liczby literami tak, aby początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko poety polskiego, oraz nazwę jego utworu.

Kombinacye:

1 2 3 4 5 6
7 1 3 8
9 4 5
8 10 11 12 13 8 10 5 14
10 7 18 3 7 10 13 19 16
13 10 4 1 3 11
15 17 11 9 4 7 5
16 8 1 1 7
4 10 8 9
5 4 9 5 4 9 8 13 4
5 8 9 13 7

Znaczenie wyrazów: 1. Herb. 2. Rzeka w Europie. 3. Zaimek. 4. Grecki uczony 5. Przystanek kolei Nadwiślańskiej. 6 Nazwa dramatu. 7. Poeta polski. 8. Literat włoski w XVI wieku. 9. Wyżyna w Azyi. 10. Miasto w Ameryce. 11. Wyspa na morzu Jońskiem.

Kryptogryf literacki.

Gawalewicz ...
Chmielowski ...
Mickiewicz ...
Szajnocha ...
Niewiadomska ...
Kończyński ...
Rostand ...
Gruszecki ...
Żeromski ...
Tetmajer ...
Rodziewiczówna ...
Konopnicka ...
Sienkiewicz ...
Zapolska ...
Orzeszkowa ...

Obok przytoczonych nazwisk wymienionych autorów, napisać po jednym tytule ich utworów, aby początkowe litery tych utworów, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko znakomitej poetki polskiej.

Rozwiązania z Nru 37.

Rebus: Dobre uczynki są najprostszą drogą do dobrego imienia.

Arytmogryf: Oleńka Billewiczówna.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: H. Żralski Podgórze, St. Laszkiewicz Słotwina, H Zielińska Monajów, B. Ramułtowa Jeżów, J. Badura Rożdzień, T. Domain Sanok, H. Banke Kraków, M. Rożański Gorlice, M. Opolska Czarny Dunajec, J. Kwiatkowska Czerniowce, A. St. Bassara Niwiska, H. Mokrzycka Tarbia, A. Góralski Ubryń, K. Chodkiewicz Zbydniów. J. Kobylański Chomiatycze, J. Duszyński Niepołomice, K. Fuchs Peczeniżyn, J. Pasieka Luka mała, Fr. Josefert Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Mieczysław Rożański w Gorlicach. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki

Zwracamy uwagę, że do losowania mają tylko prawo prenumeratorzy „Nowości illustrowanych“. Nie prenumeratorzy więc nie mogą otrzymać nagrody, chociaż dobrze wszystko rozwiążą.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.